

# Rodzina

22. I. 1961  
Nr 4(29) • ROK II  
WARSZAWA

KATOLICKI TYGODNIK ILUSTROWANY

Cena 2 zł-







## NA NIEDZIELĘ TRZECIA PO TRZECH KRÓLACH

**O**NEGO czasu: Gdy zstąpił z góry, szły za Nim rzesze wielkie. I oto trędowaty przyszedłszy pokłonił Mu się, mówiąc, Panie, jeśli chcesz, możesz mnie oczyścić. A Jezus, wyciągnąwszy rękę, dotknął go mówiąc: Chce, bądź oczyszczony. I natychmiast oczyszczony był trąd jego. I rzekł mu Jezus: Bacz, abyś nikomu nie mówił, ale idź, ukaz się kapłanowi i ofiaruj dar, który przykazał Mojżesz na świadectwo im.

A gdy wszedł do Kafarnaum, przystąpił do Niego setnik, prosząc Go i mówiąc: Panie, sługa mój leży w domu paraliżem tknięty i wielce się męczy. I rzekł mu Jezus: Ja przyjdę i uzdrowię go. A odpowiadając setnik rzekł: Panie, nie jestem godzien, abyś wszedł pod dach mój, ale powiedz tylko słowo, a będzie uzdrowiony sługa mój. I ja bowiem jestem człowiekiem pod władzą postawionym, a mającym pod sobą żołnierzy. I jednemu mówię: idź, a idzie, a drugiemu: przyjdź, i przychodzi, a służę memu: czyni to, a czyni. A Jezus usłyszawszy to zadziwił się i rzekł do tych, którzy szli za Nim: Zaprawdę, powiadam wam, nie znalazłem tak wielkiej wiary w Izraelu. A powiadam wam, że wielu przyjdzie ze Wschodu i z Zachodu i zasiądą z Abrahamem, Izaakiem i Jakubem w królestwie niebieskim. Synowie zaś królestwa wyrzuceni będą do ciemności zewnętrznych: tam będzie płacz i zgrzytanie zębów. I rzekł Jezus setnikowi: Idź, a jakoś uwierzył, niech ci się stanie. I uzdrowiony jest sługa onej godziny. (Św. Mateusz 8, 1—13).

**Z**DARZENIE opisane przez ewangelistów Mateusza (8, 1—13) i Łukasza (7, 1—10), miało miejsce w Kafarnaum. Ponieważ cud uzdrowienia sługi setnika stał się tuż po kazaniu na górze, stąd wiadomy jest jego cel: jak zwykle, ma potwierdzić boskość nauki Mistrza z Nazaretu.

Ewangelisci nie zgadzają się w opisie szczegółów tego zdarzenia. Mateusz podaje, że sam setnik prosił o uzdrowienie swego sługi, a Łukasz zaznacza, że setnik wysłał do Jezusa posłów — przełożonych żydowskich i swoich przyjaciół. Być może, że setnik istotnie początkowo wysłał delegację, ale gdy Jezus zbliżył się, wtedy sam wybiegł na jego spotkanie i powtórzył swoją prośbę. Gdy zaś Jezus powiedział setnikowi: „Idź, a jakoś uwierzył, niech ci się stanie”, natychmiast sługa został uzdrowiony i gdy

o najbardziej żywych, ruchliwych i dzielnych postaci wśród Apostołów należy zaliczyć bezspornie św. Pawła.

**D**ata jego urodzenia nie jest dokładnie znana. Urodził się ok. 10 r. po Chr. w Tarsie w Cylicji. Św. Paweł posiadał obywatelstwo rzymskie, którym się szczycił (Dz. Ap. 22,25), a które dawało posiadaczowi duże przywileje (Dz. Ap. 13,6; II Kor. 11,22; Fil. 3,5). Nie ma żadnych pewnych danych, w jaki sposób ojciec św. Pawła to obywatelstwo zdobył. Być może, że w czasie walk między Antoniuszem i Oktawianem z jednej, a Brutusem i Kasjuszem z drugiej strony, Tars opowiedział się za Antoniuszem i Oktawianem. Tymczasem Kasjusz zdobył Tars i wielu mieszkańców kazał uprowadzić do Rzymu. Kasjusz zostaje jednakowoż pokonany i musi uchodzić, a władza przechodzi w ręce Oktawiana, który chcąc okazać swoją dobroć wobec tych, którzy ponieśli straty ze strony jego współkonkurenta, obdarza wszystkich uprowadzonych wolnością, a w nagrodę za poniesione szkody daje im obywatelstwo rzymskie. Wśród tych musieli być rodzice św. Pawła.

Ojciec św. Pawła był faryzeuszem (Dz. Ap. 23, 6); chełpił się też Apostołem, że otrzymał to samo wychowanie od ojca. Ród swój wyprawdzał od Beniamina, odgrywającego wśród pokoleń izraelskich znaczną rolę, ponieważ był wydal w swoim czasie pierwszego króla Saula (Fil. 3,5). Był atoli św. Paweł także hellenistą, tj. człowiekiem nie tylko obeznanym z kulturą grecką, ale także podległym ich wpływowi, co dla dalszych kolei jego życia i jego pracy nie było bez znaczenia.

Po przybyciu do Jerozolimy, Szaweł oddaje się pod przewodnictwo Gamaliela, wnuka Hillela (Dz. Ap. 22,3). W szkole jerozolimskiej nabywa wszystkich cech, znamionujących ówczesne wykształcenie rabinistyczne. Przede wszystkim ćwiczy się w subtelnej dyalektyce i wyrozumowanej egzegezie, której wyraźne dowody pozostawił później w swoich listach. Charakterystyczną cechą wychowania rabinistycznego było uczenie się Biblii na pamięć.

wrócili do domu, którzy byli posłani zastali chorego już zdrowym.

Setnik służył w wojsku Heroda Antypa i stał na czele 100 żołnierzy. Był z pochodzenia poganinem, ale wierzył w jednego Boga, może nawet był prozelitą. W Kafarnaum wybudował bożnicę, przez co pozyskał sympatię obywateli tego miasta.

Nie żąda setnik, aby Jezus fatygował się do domu jego, prosi tylko aby rozkazał ustąpić chorobie. Jezus zdaje się być zaskoczony takim faktem i wiarą. Podziwiał ją, bo takiej wiary nie spotykał nawet u Żydów i nagradza tę wiarę cudownym uzdrowieniem sługi setnika. Przy okazji Jezus zaznacza, że tacy jak setnik, chociaż nie przynależą formalnie do Narodu Wybranego, to jednak dzięki swej niezłomnej wierze zostaną członkami królestwa mesjańskiego.

Wzruszająca w swej prostocie i jasności jest argumentacja setnika, której używa, aby przekonać Jezusa, że nie musi się trudzić, by cudu dokonać: przecież wszystko co jest na świecie jest dziełem Bożym i jako takie będzie niewątpliwie posłuszne swemu Panu, podobnie jak żołnierze są posłuszni swym przełożonym. Dlatego nie trzeba, aby Chrystus wstępował w progi domostwa setnika. Wystarczy, że rozkaże. Jakież piękne i mocne powiązanie niezłomnego przekonania o boskości Jezusa ze skromnością! Tego właśnie należy się uczyć nam od setnika.

# PRZEŚLADOWCA

Pod tym względem Szaweł odznaczał się dużą umiejętnością. Jego listy zawierają około 60 cytatów ze Starego Testamentu i jakkolwiek wszystkie przytaczane są z pamięci, cechuje je wielka dokładność. Studia zakończył przed wystąpieniem Chrystusa, a w czasie Jego wystąpienia przebywał w Tarsie. Gdy powtórnie przybył do Jerozolimy, było już po Wniebowstąpieniu i Zesłaniu Ducha św., Kościół w Jerozolimie już się rozwijał i już naturalnie nie tylko na opory, ale i czynne prześladowania. W obawie o mozaizm, Żydzi korzystając ze słabości ówczesnego prokuratora rzymskiego zagarniają w swe ręce coraz więcej władzy w tym celu, aby rozwinąć prześladowanie chrześcijan na większą skalę. Szczególnie podnieca ich działalność diakonów. Szaweł występuje wśród czołowych prześladowców (Dz. Ap. 7,60). Bierze czynny udział w tępieniu Kościoła w Jerozolimie. Wyróżnia się nawet w tej akcji swą gorliwością. Jest m.in. świadkiem śmierci św. Szczepana.

Chrześcijaństwo, prześladowane, opuszczając Jerozolimę i przenosząc się tam, dokąd nie sięgła władza Sanhedrynu, między innymi do Damaszku. Szaweł wyjednał sobie zezwolenie u Sanhedrynu jerozolimskiego i udał się do tego miasta, aby utrudnić rozszerzenie się tam chrześcijaństwa i wzniecić prześladowanie wyznawców Chrystusa.

Nie wiemy czy wybrał się pieszo czy pojechał. W każdym razie, gdyby pojechał to nie na koniu, gdyż jako faryzeusz nieczystego zwierzęcia nie dosiadłby. Mniej więcej 10 km. przed Damaszkiem w okolicy Kokab dokonało się nawrócenie i to wskutek interwencji samego Jezusa Chrystusa. Był to rok 35. Z prześladowcy Szaweł staje się Apostołem, a pamiętkę tego wydarzenia obchodzi Kościół dnia 25 stycznia. Wydarzenie godne uwagi nie tylko ze względu na swój charakter wybitnie nadprzyrodzony, lecz również dlatego, że właśnie św. Paweł przeniósł ewangelizację z

Jesteśmy często zbyt wymagający. Pragniemy, dopominamy się i wołamy głośno o przybycie Jezusa do naszych domów, do naszych rodzin, chociaż i sami i nasze rodziny skarłowaciały w wierze. Prawie nic z tej wiary, której załączki otrzymaliśmy w sakramencie chrztu św. nie zostało. Gotowiśmy spoufalać się z Bogiem, chociaż nie zdoła nas ani miłość, ani sprawiedliwość, ani męstwo, ani gorliwość — a przecież wszystkie te cnoty winny być w nas w stopniu co najmniej dostatecznym! Prosimy Chrystusa o wejście pod nasze dachy, ale czy zastanawiamy się nad tym, co On tam zobaczy, czy będzie z tego zadowolony, czy przybycie Jego do nas będzie połączone z błogosławieństwem Jego dla nas, dla naszych najbliższych? Cudów żądamy, a wierzyć nie chcemy. Za mało w nas skromności cechującej setnika. Jezus zgodził się pójść do jego domu, ponieważ setnik był człowiekiem prawym, a jednak nie czuł się godnym tak wielkiego zaszczytu.

Więcej skromności! Więcej wejścia w siebie, więcej prawdziwej, żywej wiary!

Słowa setnika każe nam Kościół powtarzać przed przyjęciem Komunii św. Niechże one nie będą w naszych ustach fałszywym sloganem, niech płyną z serca i niech kształtują właściwą naszą postawę wobec Jezusa Chrystusa prawdziwego Boga.



# APOSTOŁEM

kontynentu azjatyckiego na kontynent europejski. Paweł należał do ludzi ekscentrycznych, łamał wszelkie napotymane przeszkody, nie znosił żadnych kompromisów. Dlatego od razu staje się wyznawcą Chrystusa i to gor-

liwym wyznawcą. Sama scena nawrócenia opisana jest w Dziejach Apostolskich w rozdziale dziewiątym. Jedno zdanie w tym opisie uderza czytelnika. Tym zdaniem jest pytanie stawiane przez Pawła Jezusowi Chrystusowi: „Panie, co chcesz abym czynił?” Warto to pytanie dziś sobie postawić, poszukać na nie odpowiedzi, a skoro się przekonamy jaka jest wola Boga — nie zwlekać lecz w czyn ją zamieniać.

M. PIJARSKI

NAWRÓCENIE ŚW. PAWŁA (wg Rubensa ryt. Bolswert.)



## PRZED KOŚCIOŁEM

*Już gromadzą się ludzie odświętnie ubrani,  
Zamieniając ze sobą szorstki uścisk dłoni.  
Nim mała sygnaturka wśród drzew się rozdzwoni.  
I na pobożną nutę zagrają organy.  
A z przydrożnego krzyża wzrokiem swym łaskawym  
Chrystus, przed nowym dniem pracy będzie błogosławił.*

NASZA OKŁADKA  
Uzdrowienie Trędowatego

J. Baranowski

### NOMINACJE

J. E. Ks. Biskup Ordynariusz Dr M. Rode w czasie pobytu w Kanadzie zamianował ks. prob. Józefa Niemińskiego w Toronto, Ontario-Kanada, kanonikiem honorowym Kapituły Biskupiej Kościoła Polsko-Katolickiego. Dekretem z dn. 24.XII. ub. r. Ks. Biskup Ordynariusz zamianował ks. dr Antoniego Naumczyka — kanonikiem rzeczywistym, ks. kanclerza Tadeusza Majewskiego — kanonikiem rzeczywistym, ks. dziekana Józefa Janika — kanonikiem honorowym, p. inż. mgr Jana Getlera-Girtlera — szambelanem, zaś w dn. 28 grudnia ub. r. ks. Józefa Osmólskiego ponownie dziekanem dekanatu wrocławskiego i kanonikiem honorowym Kapituły Biskupiej Kościoła Polsko-Katolickiego.

## Sprawiedliwość społeczna w katolickiej Belgii

Belgia to jeden z najbogatszych krajów Europy. Kraj najdoskonalej rozwiniętych szlaków kolejowych i komunikacyjnych, kraj 80 kanałów i największej koncentracji kapitału. Wydawałoby się, że to kraj płynący mlekiem i miodem.

Od kilku miesięcy niepokój o przyszłość spędza sen z powiek belgijskiego mieszczaństwa. Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują na zmierzch kapitalistycznej gospodarki w tym kraju.

Trudność rynku wewnętrznego, konieczność likwidowania i unieruchamiania własnych kopalni węgla, potrzeba szybkiej, ale kosztownej modernizacji przemysłu metalowego, strata Konga, które stało się państwem niepodległym, wszystko to zaciążyło fatalnie nad belgijską rzeczywistością i stanowi zapowiedź długotrwałego kryzysu.

Prasa belgijska prawicowa i liberalna nie ukrywa niepokojów o przyszłość królestwa. Raz po raz ukazują się artykuły stwierdzające, że w państwie Baudouina „dzieje się źle“.

Wprowadzie wystawy sklepowe świadczą o dużym bogactwie Belgii, ale który Belg kupuje dzisiaj brylanty, kosztowne futra, drogie precyzyjne zegarki w złotych i platynowych kopertach?

Rozpiętość między bogactwem a nędzą w Belgii jest ogromna. Kontrasty przemawiają chyba najwymowniej. Jeśli obok dzielny pałaców znajduje się dzielnica „zbiorowych mieszkań“, którymi są prymitywne, przewielne, nędzne baraki — wymowa tej nierówności bytowej jest oczywista. Losoś i pularda z tłustej kury, drogie kontakty i kosztowne wina dla jednych, (fahrykantów, „królów“ e-

lektryczności, akcji, bononów węglowych i bononów spółdzielczych), a dla robotnika wyhodowany w ciemnej komórcie królik i cienkusz winny lub piwo.

Rząd belgijski w obliczu narastających trudności postanowił szukać dróg wyjścia z kłopotliwej sytuacji. Rzucił na pozór słuszne hasło oszczędzania. Katolicki rząd wniósł projekt przewidujący „zaoszczędzenie“ — 20 mld fr. W tym celu planuje się podniesienie podatków pośrednich (przez podniesienie ceny towarów powszechnego i masowego użytku) — co pociągnie za sobą obniżenie poziomu życia ludzi pracy.

Belgijski świat pracy zprotestował przeciw planowi oszczędności i proklamował strajk powszechny, który ogarnął całą Belgię. W czasie strajku odbywały się nieustające demonstracje. Doszło do starć z policją. Polala się krew. Są zabici i ranni. Krew robotniczej i potu robotniczego katolicki rząd belgijski nie oszczędza.

Po raz pierwszy w dziejach Belgii — robotnicy walońscy i flamandzcy obchodzili święta Bożego Narodzenia i Nowy Rok w atmosferze walki strajkowej z rzymsko-katolickim rządem, który w imię „młodości bliźniego“ chroni interesów warstw posiadających przy pomocy żandarmerii.

Walka w Belgii toczy się. Jakikolwiek będzie jej wynik, została przelana krew ludzka. Ideal Chrystusowy „miłujcie się społecznie“ został wdeptany w bruk kopytami koni policyjnych. I stało się to w katolickiej Belgii, gdzie jest rząd „katolicki“, a rzymska hierarchia kościelna czyni wszystko, aby uratować panowanie klas posiadających i wyzyskujących w tym kraju.

K. DZIANOT

## Arrasy wróciły do Polski

Miś „Krynica“ przywiózł na swym pokładzie z Kanady 50 skrzyń, które zawierają w sobie cenny skarb narodowy — arrasy.

Te narodowe pamiątki są wyrazem naszej kultury i wielkiej, i pięknej tradycji. Wola narodu wyrażona przez Władze Państwa Ludowego o zwrot naszych skarbów narodowych, przewyciężyła wszelkie przeszkody i niechęć ludzi nieżycz-

liwych naszemu Państwu i Narodowi.

Fakt powrotu arrasów do Polski usunie wiele niechęci i bardziej zbliży Ottawę do Warszawy. Prasa kanadyjska poświęca tej sprawie wiele miejsca. Zadowolenie wyrażają z tego tytułu wszyscy postępowi ludzie, którzy pragną żyć z innymi w przyjaźni i doceniają znaczenie narodowej kultury.



# WYCHOWANIE ZACZYNA SIĘ W DOMU



**D**O tramwaju na warszawskiej Trasie W-Z wsiadł staruszek z dwojgiem małych dzieci — dziewczynką i chłopcem. Można się domyśleć, że to dziadek z wnuczkami. Są odziani ubogo. Dziadek wysupłuje groszaki na przejazd tramwajem i daje dziewczynce, aby podała konduktorowi. Dziewczynka coś rezolutnie tłumaczy i z powrotem pakuje pieniądze do kieszeni dziadka.

Ponieważ trwa to dłuższą chwilę, jakaś pani, również stojąca w kącie przedniego pomostu, pyta się, czy przypadkiem nie brakuje im na bilety.

— Nie — mówi mała — tylko dziadek nie potrzebnie chce płacić, bo konduktor przecież nas nie widział, jak wsiadliśmy.

— Bo dziadek w ogóle jest głupi — uzupełnia sepleniąc młodszy od siostry chłopczyk, który ledwo odrasta od ziemi.

Starowina uśmiecha się z zażenowaniem, jakby się wstydził, że wnuki przewyższają go „zaradnością życiową“.

— Kto ciebie tak nauczył odzywać się o dziadku? — pyta ktoś oburzony.

— A nikt. Tylko mamusia mówi, że dziadek to nigdy nie wie, czego chce. Siedzi u nas i jeszcze mu zawsze źle...

Do tramwaju na Młoczeńskiej wsiada młody ojciec z malutkim dzieckiem na ręku. Miejsca „dla osób z dziećmi na ręku“ okupują panie z starszymi dziećmi. Mężczyzna z dzieckiem stoi i nie śmie poprosić o zwolnienie z miejsca, które właśnie mu w tej chwili przysługuje. Tramwaj szarpie, mając mało miejsca na ręku, trudno utrzymać mu równowagę. A przy nagłym zahamowaniu może nawet przewrócić się, bo nie ma możliwości trzymania się uchwyty. Żadna jednak z pan „bezwprawnie“ zajmujących miejsce jedno się nad tym nie zastanawia i nawet nie spojrzy. Ktoś z tyłu nie wytrzymuje i mówi do — na oko — najmłodszej z nich:

— Megłaś, pani, ustąpić miejsca temu panu z dzieckiem. Trudno mu tak stać w tłoku z małym dzieckiem w poduszce. Zresztą to jest miejsce dla osób z dziećmi.

Patentka, do której odnosily się te słowa, wybuchnęła:

— A niech sobie znajdzie młodszych, żeby mu ustąpił! Ja zapłaciłam, to mogę zająć miejsce, gdzie chcę. I odwróciła się do okna.

W wagonie oczywiście zaraz wywiązała się dyskusja, a miejsca ustąpił rzeczywiście ktoś młodszy, ale ojciec z dzieckiem musiał przepychać się przez tłok „pod rząd“.

Niestety, jest często obrazki tej kategorii można zobaczyć w tramwajach na naszych ulicach, czy w ogóle tam, gdzie spotykają się ludzie.

Kilkuletnie dziecko, które już wie, że można — a może nawet, że „trzeba“ — oszukać, jak się nadarza ku temu okazja; paroletni brzdęk, który obdarza dosadnym epitetem swego dziadka — to nie jakieś dzieci „spod ciemnej gwiazdy“. To dzieci, które atmosferę domu rodzinnego przenoszą na forum publicum. Tam nie nauczone ich poszanowania mienia publicznego, uczciwości, szacunku dla starszych. Jakże jest oblicze rodziny, takie pójda w świat dzieci!

A ta jakaś dziwna nieżyczliwość do bliż-

nich, jaka stanowi cechę wielu, to także efekty niewłaściwego niegdyś ukształtowania wewnętrznego w domu rodzinnym. Tego nie można składać li tylko na ciężkie przeżycia wojenne. Homo homini lupus (człowiek człowiekowi wilkiem) — mówi stare przysłowie łacińskie. Jakże często potwierdza się jego prawdziwość.

Wysuwanie na pierwszy plan swojego „ja“, swojej wygody, znajduje odbicie nie tylko w takich, jakie opisywaliśmy, okolicznościach. Dla własnych ambicji, dla własnych przyziemnych celów poświęca się drugiego łatwo, a siebie jeszcze łatwiej się ze wszystkiego rozgrzesza. Aby mnie było dobrze i wygodnie żyć — oto dewiza wielu.

Jest to również często konsekwencja wychowania wyniesionego z domu. Dziecko posiada chłonny umysł, obserwuje to, co napotyka w domu, naśladuje mimo woli rodziców. Utyskiwanie matki „a skąd się wziął taki czarny charakter u mego dziecka“ bije tylko w tych, którzy są odpowiedzialni za wychowanie i ukształtowanie charakteru dziecka. Jeśli w domu rodzinnym dziecko nie otrzyma jakiegos marnego wewnętrznego pionu, później znacznie gorzej i trudniej wpoić mu jakieś zdrowe zasady. Szkoła, społeczeństwo, państwo nie są już w stanie rozpoczynać wychowania od podstaw, bo to należy do rodziców. Na tym polega wielkie znaczenie rodziny.

Wpływ Kościoła na wychowanie dzieci może dopiero wtedy się ujawniać, jeśli współdziałają z nim rodzice. Religijne wychowanie wyniesione z domu, połączone z nauką religii w szkole lub też w kościele — oto rękojmią odpowiedniego ukształtowania wewnętrznego u dziecka. Niestety, jak często akcja wychowawcza na odcinku domowym szwankuje. Zły przykład rodziców, choćby nawet oni i zapędzali dziecko na lekcje religii i do kościoła, niweczy najczęściej pracę wychowawczą katechetów, księży. Dziecko patrzy na wszystko bardzo krytycznie. Widząc rozbieżność pomiędzy tym, co się głosi a praktyką życiową, zaczyna lekceważyć najbardziej wzniosłe nauki i zasady. Myśli, że to są tylko tematy, na które mówi się od święta, a w życiu codziennym właściwie nie obowiązują.

A więc wychowanie religijne — i w ogóle wychowanie dzieci, zaczyna się od dawania

dobrego przykładu przez rodziców w domu. Jeśli dziecko słyszy w domu, jak matka lub ojciec lekceważąco wyrażają się o osobach bliskich czy też obcych, trudno wymagać, aby samo z siebie posiadało szacunek dla starszych. Jeśli w domu pochwała się nieuczciwością, trudno, aby było dziecko uczciwe w stosunku do swoich rówieśników, do ludzi w ogóle.

Gdy w domu słyszy dziecko, że po to się żyje, aby jakoś „się urządzać“ i czasem za wszelką cenę, trudno potem wymagać, gdy wyrośnie, życzliwości dla innych.

Wychowujmy przeto starannie nasze pociechy i to szczególnie poprzez dobry przykład. Naturalnie każdy dobry ojciec i każda dobra matka chce swoje dzieci wychować jak najlepiej. Ale właśnie z tym dobrym przykładem, najczęściej w sprawach nawet o mniejszym znaczeniu, jest w rodzinach krucho. Gdy chcemy postąpić nie tak, jak dyktuje nam sumienie, pamiętajmy, że spoglądają na nas dzieci, które zazwyczaj widzą w rodzicach wzór do naśladowania. I dobrze, że tak jest. Ale niech naśladując — odnoszą korzyść. Niech nasze postępowanie oddziałuje wychowawczo na tych, którzy w przyszłości będą dorosłymi ludźmi, potem rodzicami, którym z kolei rola wychowawców przypadnie.

Tekst: J. Andrzejewski  
Zdjęcia: J. Kuruliszwili





— Ja też miałem gości... I to jakiego!  
 Wojtus myśli:  
 Ale widząc, jak tatus cieszy się z przybycia swoich gości —  
 na kolanach zadąb nie ma... — zmartwił się Wojtus.  
 Co to? Za oknem już ciemno... Nikogo nie ma... I kwiatów  
 do stołu! Goście przysli!  
 usnął? Na oknie? W takiej niewygodnej pozycji? — Chodźże  
 — Wojtus — dał się nagle słyszes głos mamusi. — Coś ty,  
 Ale pewnego dnia na awanturę parapecie otwora zjawili  
 się ogromnie zainteresowali Wojtusia: Ptaszki!  
 "Gość", rozjeździł się po zamieszonym parapecie, zaspiewał raz  
 i drugi, i — odleciał.  
 — Gosciom daje się jeść... — pomyślał Wojtus. — Trzeba tu  
 coś dla niego zostawić, to gdy przyjeżdż następnym razem,  
 rodzice zawsze częstują!  
 Nie zastanawiając się długo — Wojtus poprosił tatusia, żeby  
 za oknem umocował szeroka deskę. Na tę deskę Wojtus wy-

— by zachwycający!  
 Antoni, który odwiedzał częściej tatusia, bo razem pracowali  
 nosili nowiny, opowiadali bardzo eekawe historie, a już pan  
 wtedy było w domu weselej, przyjemniej. Goście przy-  
 na to, czy przechodzili do mamusi, czy do tatusia. Jakos  
 Wojtus zawsze bardzo lubił gości. Lubili ich bez względu  
 Ale jedno Wojtusia zawsze martwiło: Gosce przychodzili  
 albo do tatusia, albo do mamusi, albo do obu rodziców,  
 a nigdy do niego samego, do Wojtusia. Wojtus nie miał swo-  
 ich gości. Nieraz sobie myślał, jakby to było przyjemnie,  
 gdyby w tym kąciku, w którym zwykle się bawił, albo na  
 tym oknie, z którego lubił w sad patrzeć — ktoś się znalazł,  
 kto by przyszedł do niego, do samego Wojtusia!

A własnie zbliżały się imieniny tatusia. Wojtus wiedział już  
 od dawna, że będa goście. Do Wojtusia jednak, bo staremu,  
 nie zapowadał się nikt.

— Sędzi Franciszek — szepnął Wojtus —  
 — Tak, ja jestem Franciszek z Anny — odpowiedział  
 Wojtusowi gość — Bręli tych wszystkich, których zwiwsz.

Teraz dopiera Wojtus zobaczył, że tam mały czwiliwieczek  
 wcale nie jest taki mały, skoro zasłania całe okno, cały świat  
 nawiał. Teraz dopiero zauważył, że jego gość ma pełno kwia-  
 tow w rękach kwiatów takich pięknych, jakich w zimie nie  
 bywa. I zwrócił kwiaty Wojtusowi na łona.

Sędzi Franciszek — szepnął Wojtus —  
 — Tak, ja jestem Franciszek z Anny — odpowiedział  
 Wojtusowi gość — Bręli tych wszystkich, których zwiwsz.

— Ja też przyszedłem do ciebie w goście. To moich braci  
 nie martwie, bo się uśmiecha, uśmiecha i... nawet coś mowi:  
 o nim wiedział. A ten "gość" choć tak licho ubrany, chyba  
 jakieś imię znajomy. Gdzieś go już Wojtus widział... cos  
 jakiegoś imię znajomy. Gdzieś go już Wojtus widział... cos  
 jakiegoś imię znajomy. Gdzieś go już Wojtus widział... cos  
 jakiegoś imię znajomy. Gdzieś go już Wojtus widział... cos

chwil Wojtus wyraźnie zobaczył, że między ptaszkami stoi  
 Nasypan "Goście" zlecieli się, jak co dzień, w pewnej  
 się będzie kręcić, gdyż starsi szykują większe przyjęcie.  
 więcej niż zwykłe, bo wiedział, że potem po kuchni nie wolno  
 rana, gdy tylko powinnował tatusiowi — nasypan na deskę  
 Tak było również w dniu imienin tatusia. Wojtus z samego  
 wolonego płaćwa.

dzinami obserwował ich, słuchał spiewów i cwieterkania zado-  
 z niego zbytnio, by "swoich gości" nie płoszyć — całym go-  
 Przy oknie Wojtus ustawił sobie fotel i nie wychylał się  
 moc "gości", których w domu nazwano: "Wojtusowi gosce".  
 I tak się już przyjęło, że codziennie za oknem zjawiało się  
 tych nikt nie chciał jeść. Wszystko to było drobno pokrajane.  
 nie zjadł, trochę woszczynny z rosolu i takie chrząstki, kto-  
 rzuchi okruszony zmieciono ze stołu, resztkę kartofli, których

Wojtus zawsze bardzo lubił gości. Lubili ich bez względu  
 na to, czy przechodzili do mamusi, czy do tatusia. Jakos  
 wtedy było w domu weselej, przyjemniej. Goście przy-  
 nosili nowiny, opowiadali bardzo eekawe historie, a już pan  
 Antoni, który odwiedzał częściej tatusia, bo razem pracowali  
 — by zachwycający!  
 — Gosciom daje się jeść... — pomyślał Wojtus. — Trzeba tu  
 coś dla niego zostawić, to gdy przyjeżdż następnym razem,  
 rodzice zawsze częstują!  
 Nie zastanawiając się długo — Wojtus poprosił tatusia, żeby  
 za oknem umocował szeroka deskę. Na tę deskę Wojtus wy-

— Ja też miałem gości... I to jakiego!  
 Wojtus myśli:  
 Ale widząc, jak tatus cieszy się z przybycia swoich gości —  
 na kolanach zadąb nie ma... — zmartwił się Wojtus.  
 Co to? Za oknem już ciemno... Nikogo nie ma... I kwiatów  
 do stołu! Goście przysli!  
 usnął? Na oknie? W takiej niewygodnej pozycji? — Chodźże  
 — Wojtus — dał się nagle słyszes głos mamusi. — Coś ty,  
 Ale pewnego dnia na awanturę parapecie otwora zjawili  
 się ogromnie zainteresowali Wojtusia: Ptaszki!  
 "Gość", rozjeździł się po zamieszonym parapecie, zaspiewał raz  
 i drugi, i — odleciał.  
 — Gosciom daje się jeść... — pomyślał Wojtus. — Trzeba tu  
 coś dla niego zostawić, to gdy przyjeżdż następnym razem,  
 rodzice zawsze częstują!  
 Nie zastanawiając się długo — Wojtus poprosił tatusia, żeby  
 za oknem umocował szeroka deskę. Na tę deskę Wojtus wy-

WOJTUSIOWY GOŚĆ...

„Spuszcie nam na ziemskie ni-  
 kupienie swata, za które win-  
 mśmy Bogu gorąco dziękować,  
 gdyż i Ty, i wszyscy ludzie od-  
 zyskali znów dziecięstwo Bo-  
 ze, łaskę poswiecającą i utra-  
 Sa zakazane wszelkie buczne  
 zabawy i wesele. A jednak jest  
 to czas nadziei, bo zbliża się od-  
 Ks. E. K.



Dodatek „Rodziny” dla dzieci

**SŁONECZKO** 4

Rok II Warszawa, 22. I. 1961 Nr 24 (9)

CUD W KANIE GALILEJSKIEJ

W miasteczku Kana Galilejska odbywało się wesele. Zaproszono również na nie Pana Jezusa z Jego uczniami. Przybyła również zaproszona na tę uroczystość Matka Najświętsza. Pan Jezus, przyszedłszy ze swoimi uczniami na tę uroczystość, brał udział w radości, która panowała w domu. Ale tę radość zamaćono, okazało się, że dla gości, których było bardzo dużo, zabrakło wina.

Matka Najświętsza zauważyła ten kłopot. Jej miłosierne serce od razu zapragnęło pospieszyć z pomocą. Sama nie mogła nic zrobić, ale wiedziała dobrze, że na weselu jest ktoś, kto może nowożeńców wybawić z kłopotu, to Jej Boski Syn. Zbliżyła się więc do Pana Jezusa i rzekła: „Wina nie mają”. Pan Jezus odpowiedział na to: „Co mnie i tobie niewiaisto? Jeszcze nie nadeszła moja godzina”.

Lecz Matka Najświętsza wiedziała, że Pan Jezus z pewnością przyjdzie proszącym z pomocą, a przede wszystkim Jej, jako Matce, nie odmówi niczego.

Wierząc w moc Swego Syna poszła i poleciła służbie wypełniać wszystko, cokolwiek Jezus każe. Pan Jezus uległ prośbie swej Matki i polecił napelnic wielkie dzbany gliniane (stągwie) wodą. Słudzy natychmiast polecenie spełnili. Wtedy Pan Jezus powiedział: „Czerpajcie teraz i zanieście przełożonemu wesela”.

Przełożony wesela skosztowawszy wina, zdziwił się bardzo, że takie dobre wino zostało. Zrobił nawet wymówkę młodemu panu,



Ze wszystkich stworzeń bo-  
żen dać za swój grzech za-  
doszczynienie. Ale Syn Boży  
szkib Pana Boga przeznaczony  
do nieba, bo został obdarzony  
duszą niesmiertelną. Ale szcze-  
śca, do którego człowiek zo-  
stał przeznaczony zarzucił  
szatan, który przez grzech py-  
chy utracił niebo. Postanowił  
więc namówić człowieka do  
grzechu. I udało mu się. Czło-  
wiek za namową szatana grze-  
szył. Utracił łaskę Bożą, prze-  
stał być dzieckiem Bożym, a  
przez to stracił również prawo  
do nieba. Szatan cieszył się z  
tego, że człowiek przestaje być  
najwyższym na świecie, a sta-  
je się takim jak zwierzę. Teraz  
zas możemy rywalizować z  
najwyższymi nawet chorami  
anielskimi, bo człowiek — Mat-  
ka Najświętsza została wyimie-  
niona do rodziny Królowej  
nieba i ziemi. A także św. Jo-  
zef i apostołowie chyba też są  
między najwyższymi oboram  
anielskimi u tronu Bożego.  
Na pamięć oczekiwan  
Zhawiciela swiata Kosciol sw.  
ustanowił Adwent, cztery ty-  
godnie przed Bozym Narodze-  
niem. Oznacza ja one wiele ty-  
sięcy lat oczekiwania Zbawi-  
ciela. W Starym Testamencie  
ludzie byli porażeni niby w  
nocy oczekując na słońce —  
Zbawiciela. W kosciolach wie-  
dy rozbrzmiewaja smutne pie-  
śni adwentowe — „Niebiosa ro-  
se spuszczajcie z gory”. „Spraw-  
wiedliwego wyście obmury...  
sktemu. Czlowiek bowiem  
doszczynienie Ofcu Niebie-  
ni jako swoich braci da za-  
dzie pokutowal i w imieniu  
W ten sposob jako czlowiek be-  
dzie cierpiat i umrze za ludzi.  
wieka i jako Czlowiek ponie-  
ste kare za grzechy ludzkie, be-  
Bozy przyjdzie na ziemie.  
Wedlug planow Bozych Syn  
Ludzkie, ludzka nature.

## BÓG OBIECUJE ZESŁAĆ NA ZIEMIĘ ZBAWICIELA

ze najlepsze wino zostawił na koniec. Młody pan tłumaczył się,  
że nie chował nigdzie żadnego wina. Później dopiero wyjaśnili  
śludzy, którzy przynieśli stągwie od studni, że wino znajdujące  
się w stągwiach pochodzi ze studni, że to Jezus z Nazaretu prze-  
mienił wodę w wino... Wzruszony i przejęty tym, co się stało,  
pan młody gorąco dziękował Panu Jezusowi i Matce Najświętszej  
za cud, który uczynił.

W chwilę później wszyscy już o tym wiedzieli i spoglądali na  
Pana Jezusa z bojaźnią i uwielbieniem. Zarówno Jego uczniowie  
jak i zaproszeni goście zrozumieli, że Pan Jezus nie jest zwy-  
kłym człowiekiem. Z wielkim szacunkiem spoglądali również na  
Matkę Najświętszą, za której przyczyną Pan Jezus dokonał pier-  
wszego cudu w swoim życiu na ziemi. I ty, gdy będziesz w ja-  
kiejś potrzebie zwróć się z wielką ufnością do Pana Jezusa za  
pośrednictwem Matki Najświętszej, której Bóg prośby zawsze  
wysłuchuje, więc i Twoje prośby łatwiej i szybciej zostaną wy-  
słuchane, o ile wraz z Tobą modlić się będzie Matka Boża.

WASZ PRZYJACIEL



## „SŁONECZKIEM”

koresponduj ze

### Czy piorkiem, czy ołoweczkiem

Wyszły dzieci na wanecki  
Patrzą z bliska: oto tu  
wyprochniała dziupla w niej,  
a do dziupli wietrzyk wpada  
i tak szumi, jakby gadał,  
albo jęczy: U-hu-hu...  
Stach  
zawołał tylko: — Ach,  
to w nim płąkał ktoś czy spiewał...  
— Jak jechałem koło drzewa,  
przerazoni, mały Stach  
Tam na pewno siedzi strach!  
— Strach? W tej wierzbie? Spiewa?  
Stachu,  
Placasz? kto na sankach szuka strachow?  
Chodź jedziemy! —  
I za chwile  
wszyscy znikli w śnieżnym pyłu.  
Idą dzieci — a tam stoi  
wierzba, kłosej Stach się doi.  
A K

## STACH I STRACH

### ROZWIĄZANIE „ZEGARA”

Prawidłowe rozwiązanie „Zegara” wynosi cyfra 13.

Nagrody drogą losowania otrzymują: MICHALASKA WANDA z Łańcuta, DĄBROWSKA WŁADYSŁAWA z Heredia, SERAFIN LESZEK z Kleic, KOSNO ZYGMUNT z Bolesławia, PIECHNA ALINA z Warszawy, ZAJAC ANDRZEJ z Zuchłów 41, GNIADY WŁADYSŁAW z Lęk Dukielskich, POCZACHOWSKA BARBARA z Gielczewa, KARCZEWSKA KRYSTYNA z Trzebieszowa, SZUDROWICZ MAREK z Legnicy.

### KRZYŻÓWKA DROGOWA

Wszyscy winniśmy dążyć do tego, aby w Polsce było jak najmniej wypadków drogowych, jak najmniej kalek. W tym celu ludzie ustalili pewne przepisy drogowe, które wymalowano na tablicach i ustawiono na skrzyżowaniach dróg i ulic. I Twoim obowiązkiem jest również dbać o swoje i innych życie. Wypełnisz ten obowiązek, o ile przestrzegać będziesz i innych nauczysz przestrzegać przepisów, czyli tak zwanych znaków drogowych „Słoneczko” chce się przekonać czy dzieci polskie znają znaki drogowe, dlatego ogłasza, zamiast krzyżówki, mały konkurs na znajomość znaków drogowych.

Na zamieszczonej tablicy masz umieszczonych kilkanaście takich znaków. Zadanie polega na tym, aby odgadnąć, co dany znak oznacza (co nakazuje lub zakazuje), a po odgadnięciu, na kartce papieru wypisz znaczenie wszystkich umieszczonych znaków i wraz z dokładnym adresem, klasą i wiekiem, prześlij na adres naszej Redakcji.

Rozwiązania należy przysyłać w ciągu dwóch tygodni od daty ukazania się numeru „Rodziny”. Za prawidłowe rozwiązanie zostaną rozlosowane piękne nagrody książkowe.



# WYBRALI SŁUŻBĘ BOGU

**W** dn. 22 grudnia ub. r. J. E. KS. BISKUP ORDYNARIUSZ DR MAKSYMILIAN RODE w kościele prokatedralnym w Warszawie, przy ul. Szwoleżerów 4, udzielił święceń niższych i wyższych alumnom Wyższego Seminarium Duchownego Kościoła Polskokatolickiego i Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej (Sekcji Starokatolickiej). (Na zdjęciach: alumni przyjmują święcenia).

Niższe święcenia otrzymali: Z. KUCEWICZ, S. MACIEJCZYK, J. OFTON, W. RYBIŃSKI, A. STRZELCZYK. Święcenia zaś wyższe otrzymali: kl. kl. K. BONCZAR, M. BUGAJSKI — subdiakon, kl. J. SZOTMILLER — subdiakon i diakon.





# WRAŻENIA Z PODROZY DO KANADY

II

BISKUP DR MAKSYMILIAN RODE

**N**A lotnisku w Montreal, mimo pełnej nocy, panuje ożywiony ruch. Czteromotorowy samolot kanadyjski szybko wypełnia się do ostatniego miejsca. Mimo ciągle się zmieniających sytuacji jestem już zmęczony, jednak nie mogę, a raczej nie chcę spać. Wzlatający bowiem samolot pokazuje całe morze nowych wspaniałych, niepowtarzalnych zjawisk świetlnych; ludzie w mieście wprawdzie już śpią, jednak zarówno w Montrealu, jak i w spotykanych po drodze miastach i osiedlach światło latarni i przeróżnych neonów nie tylko usiłuje rozpraszać ciemności nocy, ale swoim blaskiem stwarza najróżnorodniejsze formy i figury, które upajają wzrok i budzą rozliczne refleksje. Znowu pędzimy w dal oderwani od Ziemi, duchem blisko Boga i nieba, fizycznie mimo wszystko bardzo od niego oddaleni.

Kanada jest państwem stosunkowo młodym, teren zaś jej rozległy, urozmaity, położony w północnej Ameryce; na południu graniczy ze Stanami Zjednoczonymi Ameryki Północnej, na północy z Morzem Arktycznym, na wschodzie z Atlantykiem, na zachodzie z Oceanem Spokojnym. Po Związku Radzieckim i Chinach największy kraj w świecie, o powierzchni ponad 3.842.000 mil kwadratowych. Ludność liczy tylko około 18 milionów, w tym dość poważny procent stanowią imigranci: Francuzi, Niemcy, Ukraińcy, Żydzi, Włosi i in. Liczbę Polaków oficjalna statystyka określa na ok. 260.000. Ludność pochodząca z wysp brytyjskich nie przekracza 45% ogółu mieszkańców. Rozległy kraj, jeszcze chyba w pełni ani poznany, ani wykorzystany, bogato zalesiony, ubogacony pięknymi, olbrzymimi jeziorami (Superior — 31.820 mil kw., Huron, Michigan, Ontario i in.) i rzekami (Mackenzie, Yukon, St. Lawrence — Św. Wawrzyńca i in.), o przeciętnym stylu życia mieszkańców, borykających się z różnymi trudnościami, wśród których niewątpliwie na plan pierwszy wysuwa się bezrobocie. Kanada dzieli się na 10 prowincji i 2 terytoria. Stolicą jest Ottawa.

Leniwie uciekają minuty, kwadransy. Słychać odgłosy równo pracujących silników. Z pewnością już wylecieliśmy z największej prowincji Kanady — Quebec, w której leży też największe miasto Kanady — Montreal, a lecąc nad terenem nowej prowincji — Ontario, zbliżamy się do Toronto, stolicy tejże prowincji. Tak, już widzę migające światła. Obok

mnie siedzący Wloch, który szybko poznał we mnie Polaka i przyjaźnie służył w drodze informacjami — urodził się już w Kanadzie — stwierdził po francusku: Monseigneur, regardez, c'est déjà Toronto!

Ks. Józef Niemiński, proboszcz parafii polsko-katolickiej w Toronto p. w. Św. Jana oraz ks. Roman Powązka, proboszcz parafii polsko-katolickiej w Hamilton, serdecznie powitali mnie na lotnisku. Minęła już godzina 3 rano, dnia 5 listopada 1960 r. (w Polsce była wtedy godzina 9 rano). Ks. prob. Niemiński sprawnie prowadzi samochód. Pół godziny z lotniska na probostwo szybko upłynęło; rozmawialiśmy zdawkowo na różne tematy, w szczerzej, przyjacielskiej atmosferze. Poczulem się od razu bardzo dobrze, jak wśród swoich, oddanych przyjaciół. Dotarłem szczęśliwie do celu. Podziękowawszy Bogu za opiekę w czasie urozmaiconej, ponad siedem tysięcy kilometrów liczącej podróży a trwającej łącznie z przerwą w Brukseli i w Montrealu ok. 21 godzin — poszedłem na krótki odpoczynek.

Plebania w Toronto, która miała mi być w czasie pobytu w Kanadzie mieszkaniem, zrobiła na mnie miłe wrażenie. Niedawno zbudowana, posiadająca wprawdzie nieduże, ale estetycznie umeblowane pokoje, racjonalnie rozłożone, i mój pokój wygodny i miły na piętrze, dowodziła już na pierwszy rzut oka, że zarówno ksiądz proboszcz jak i komitet parafialny włożyli w jej budowę nie tylko dużo dolarów, ale i własnej inwencji. Jedynym minusem jest brak słońca, bo kościół stojący na pierwszym planie i przylegający do plebanii nie dopuszcza do niej prawie że jednego promyka. Ale w plebanii nie było zimno, nie było smutno, owszem brak słońca naturalnego zastępowała stale uśmiechnięta i bardzo troskliwa p. Maria Niemińska i córeczki Rybcia i Renia. Pełni również radości i słońca okazali się parafianie torontońscy. Jeszcze w sobotę pod wieczór, zwiędzając przyległe do kościoła i w jego podziemiach sale, spotkałem w nich żywo krzątających się naszych braci i siostry. Witani mnie serdecznie, ze szczerą radością i zadowoleniem. Siostry przygotowały przyjęcie, a bracia scenę i sale.

Niedziela, dnia 6 listopada 1960 r., jak zresztą niemal wszystkie dni mojego pobytu w Kanadzie, była od samego rana pogodna. Jest godzina 9.30 rano. Przez okno widzę schodzących się do kościoła parafian, moich rodaków, których los tu sprowadził, jednych kilkadziesiąt lat temu, innych po ostatniej wojnie. W Toronto, które jest stolicą prowincji Ontario, liczba ogółu mieszkańców już w niedługim czasie dosięgnie półtora miliona, mieszka ok. 25.000 Polaków. W tej prowincji leży też stolica Kanady, Ottawa, oraz słynny wodospad Niagara. O godz. 10 przed plebanią uformowała się procesja: ministranci i członkowie Towarzystwa Niewiast Adoracji Najświętszego Sakramentu. W asyście ks. prob. Niemińskiego i ks. prob. Powązki idę poprzedzany dostojnym orszakiem do kościoła. Kościół wypełniony ludźmi i powitalnym polskim śpiewem polskiego chóru, pod dobrą batutą p. Antoniego Zatora, oryginalny ołtarz, rzeźba polichromiczna p. Eug. Chruścickiego: krótkie powitanie, aspersion i suma ponofikalna, w czasie której bardzo ładnie śpiewał chór parafialny na cztery głosy. Po sumie wygłaszam kazanie. Miło jest mówić do ludzi spragnionych słowa Bożego, skupionych i rozmodlonych.

Radość i zadowolenie z przyjazdu polskiego biskupa uzewnętrzniła się w entuzjastycznym powitaniu w czasie obiadu na sali po niesporach, w których wziął udział ks. biskup angikański Snell i ks. prob. Antoni Łapiński, prob. parafii polsko-katolickiej p.w. św. Michała w Niagara Falls. Już w życiu dużo widziałem

przeżyłem. Nigdy jednak nie przypuszczałem, że z taką radością witać mnie będą Polacy w Toronto. Serdeczne przemówienie powitalne wygłosili: ks. prob. Niemiński, przewodniczący Komitetu Parafialnego — p. Antoni Kowalczyk, przewodnicząca Towarzystwa Niewiast — pani Maria Koperowa, prezeska chóru — pani Józefa Sapięło, p. Stanisław Kijowski i in., a wszyscy kończąc powitanie składali poważne sumy na budowę Katedry w Warszawie. Łącznie w czasie mojego pobytu w Toronto parafianie złożyli na moje ręce 2.050 dolarów. Czynili to spontanicznie, od siebie, szczerze. Na tym miejscu, za tę hojną ofiarę składam jeszcze raz serdeczne „Bóg zapłać”. Pod koniec mówiłem o Polsce i naszym Kościele, po czym udzielałem odpowiedzi na różne pytania. Również serdeczny przebieg miały zebrania, które się odbyły w innych terminach: Komitetu Parafialnego, Tow. Niewiast, Chóru Kościelnego i wreszcie akademii, dnia 12.XI.1960 r., wykonana przez dzieci szkolne i młodzież. Podziwiałem doskonale wykonane tańce polskie w pięknych ludowych strojach i dobrą polszczyznę nie tylko dorosłych, ale i w poważnej mierze również dzieci i młodzieży.

W czasie swego pobytu w Toronto odwiedziłem też kilkunastu chorych, przebywających w szpitalach, bądź u siebie w domu. Miło wspominałem również prywatne spotkania u państwa Kijowskich, Zimnych, Cybruchów, u pani Żukowej i p. Bryka i wielu innych. Wszędzie byliśmy serdecznie przyjmowani.

W niedzielę, 13.XI.1960 r. odwiedziłem przed południem parafię w Oshawa. Kościół niewielki, p. w. św. Józefa, ale utrzymany bardzo czysto i robiący miłe wrażenie. Odprawiłem Sumę, wygłosiłem kazanie, ochrzciłem kilkuletniego chłopca: organistą jest tu 14-letni Rajmund Bielawski, który może się spodziewać pięknej kariery muzycznej, o ile wytrwale będzie ćwiczył. Po sumie obiad i spotkanie na sali. Wita mnie przewodniczący Komitetu Parafialnego, pan Marian Krawczyk. Mówię o Polsce i naszym Kościele. Jest miło, serdecznie. Zebrani, chociaż parafia tu nieliczna — powstała niedawno — składają na budowę Katedry w Warszawie 200 dolarów. „Bóg zapłać” za Waszę hojność.

Po południu o godz. 17 odprawiłem niespórny w Hamiltonie. Proboszczem jest tutaj ks. Roman Powązka. Mój nieodłączny towarzysz, ks. prob. Niemiński, przewoził mnie tu swoim samochodem. Parafia nie ma swojego kościoła, korzysta z kościoła anglikańskiego. Program na sali po niesporach podobny do poprzednich. Wita mnie serdecznie: ks. prob. Powązka, potem przewodniczący Kom. Parafialnego, p. Józef Kos i przewodnicząca Tow. Niewiast, p. Janina Janicka. Oczywiście — jak wszędzie i tu — otrzymałem kwiaty od dzieci i wysłuchałem miłego polskiego powitania. Był również obecny ks. prob. Łapiński. Zebrani złożyli na budowę katedry 230 dolarów, za które jeszcze raz serdecznie dziękuję.

Na pracy, rozmowach, konferencjach upływał czas. Muszę jeszcze wspomnieć, że w międzyczasie zgłaszali się do mnie na rozmowy Polacy z różnych środowisk. Miałem też urzędowe wizyty, wśród których tu pragnę wymienić dwie: 11 listopada przyjechał do Toronto na konferencję ks. biskup Leon Grochowski z Scranton i ks. biskup Tadeusz Zieliński z Buffalo; miałem również przyjemność przyjąć wizytę konsula polskiego z Ottawy, p. prof. dr Edwarda Więcko.

Udzieliłem również kilku wywiadów prasowych dla prasy kanadyjskiej i polskiej, m. in. dla The Telegram i Związkowca, które zostały względnie wiernie wydrukowane.

Miło i serdecznie było w Toronto, ale nadzedł 19 listopada 1960 r., czas odlotu do Montrealu i odwiedzenia tam parafii narodowej.





Nowo ochrzczony. Obok — Ks. Biskup i Ks. Kanonik

Kościół PNK św. Jana Chrzciciela w Toronto

Od lewej: Ks. Kanonik J. Niemiński, Ks. Biskup Dr Maksymilian Rode, Redaktor Naczelny — p. Fr. Głogowski i Ks. R. Powązka w redakcji „Związkowca“



Ks. Kanonik Józef Niemiński

Główny ołtarz w kościele św. Jana Chrzciciela w Toronto



J. E. Ks. Biskup Ordynariusz udziela Chrztu św. w parafii w Oshawie.



Komitet Parafialny z roku 1958 z Ks. Proboszczem J. Niemińskim

Przewodniczący Komitetu Parafialnego Polskiego Narodowego Katolickiego Kościoła w Toronto p. Antoni Kowalczyk





W poprzednich artykułach mówiliśmy o szeregu przyczyn dramatycznego finału życia.

Bezpośrednie jednak powody nie wyjaśniają istoty samego zjawiska.

Dobrowolne przerwanie pasma życia łączy się niewątpliwie z utratą wiary w jego sens, co z kolei ma związek z religią.

Światopogląd człowieka, jego rola w otaczającym go świecie, jego stosunek do zmiennych i trwałych wartości wpływa zasadniczo na większe lub mniejsze przywiązanie do życia.

Do pełnego życia potrzebne są wielkie pasje i impulsy, które pomagają przezwyciężać trudności, zawody i znosić cierpienia.

Człowiek pozostawiony na ziemi ze swoją egzystencją, materią w różnych kształtach i ludzkimi doznaniem czuje się jak dziecko w pokoju wśród najpiękniejszych zabawek bez nadziei powrotu do matki.

Człowiek-dziecko cieszy się z początku różnymi zabawkami, które świat mu daje, lecz z czasem przychodzi znudzenie, pustka i życie traci sens.

Wszystkie nasze największe i najpiękniejsze idee, które wytworzył człowiek dla dobra człowieka, nabierają wtenczas istotnej wartości kiedy są trwałe, ponadczasowe i naszym czynom dają wartość niezniszczalną.

Dlatego wszystkie pasje i impulsy ludzkie i materialne nie wydają się dostateczne, aby każały człowiekowi żyć mimo cierpienia, niepowodzeń i przeciwności.

Bóg i religia potrzebne są nie tylko przy śmierci — jak utrzymują niektórzy — ale do życia, bo — naszym zdaniem — ona tylko naszym porażkom, zawodom, goryczom i cierpieniom daje określony sens.

Rozumny człowiek religijny uważa życie za dar Boski, z którego rezygnacja jest wzgardą i obrzą Bogu, i dlatego przyjmuje je, a wszelkie doświadczenia traktuje jako próbę na drodze do zbawienia. Oczywiście wypadki samobójstwa spotykamy również u ludzi tzw. religijnych, którzy przed ostatecznym aktem rozpa-

czy usiłują nawet pojednać się z Bogiem. Wydaje się jednak, że religijność ich jest powierzchowna, oparta na mechanicznych czynnościach, pozbawiona głębszego przeżycia i intelektualnej postawy.

Rozumny człowiek wierzący w najtrudniejszych sytuacjach dobrowolnie nie rezygnuje z życia. Jeżeli to czyni, to tylko wtenczas, gdy świadomość jego jest ograniczona, bo na skutek pewnych wstrząsów i przeżyć została zachwiana jego równowaga psychiczna.

W takiej sytuacji, gdzie nie ma pełnej świadomości akt samobójczy jest poza wszelką ocenę moralną. Ponieważ nie znamy stanu duszy ludzkiej w ostatniej chwili jego życia na ziemi ani stosunku człowieka do Boga, dlatego ocenę moralną takiego czynu winniśmy zostawić wyłącznie Bogu, który jest sędzią żywych i umarłych.

Kapłan polsko-katolicki po za pewnymi wyjątkami może i powinien brać udział w pogrzebie człowieka, który sam pozbawił się życia. Pogrzeb bowiem nie jest sakramentem i nikt tu nie popełnia świętokradztwa. Modlić się należy za żywych i umarłych z wiarą w bezgraniczne miłosierdzie Boże.

Zmechanizowana epoka, w której żyjemy, nie sprzyja życiu wewnętrznemu, a dynamiką swoją i rozmachem męczy nas i wyczerpuje. Nasz system nerwowy i jego wytrzymałość zdaje się nie nadążać nie tylko za szybkim rozwojem techniki, która nas zbyt szybko absorbuje i narzuca nam pewne prawa i swoje tempo. Człowiek wyczerpany nerwowo, który zwątpił w Dobro, Piękno i Prawdę, zwątpił w sens każdej idei, ucieka przed walką i cierpieniem — ucieka konsekwentnie przed życiem.

Dlatego zadanie religii to nie tylko pomoc w Zbawieniu, czy w przeprowadzce do wieczności — to pomoc w życiu, w cierpieniu i w walce, to uatrakcyjnienie dnia codziennego, opromienienie mroków duszy i szarzyzny życia. Zadanie religii to powiązanie człowieka z Bogiem i z człowiekiem na ziemi, to wyznaczenie mu ta-

kiego zadania do spełnienia, na które potrzeba całego życia.

Nauka Kościoła rzymskiego jednoznacznie określa swoje stanowisko wobec problemu samobójstwa i samobójców.

Potępiając wierzenia pogańskie starożytnych Rzymian i Greków głoszące prawo do dobrowolnego skrócenia sobie życia, tzw. samobójstwo z rozsądku, oraz naukę Buddy faworyzującą samobójstwa jako wyraz buntu przeciwko woli Boga, który obdarzył człowieka życiem doczesnym i wiecznym, Sobór w Toledo (593 r. po Chr.) przykazał duchowieństwu karać samobójców anatemą.

Ustawodawstwa prawne większości krajów nie uznają samobójstwa za czyn przestępczy, jakkolwiek stwierdzają jego szkodliwość społeczną. Jedynie w Anglii i USA usiłowanie samobójstwa jest karane.

Natomiast prawo nie pobliża osobom postronnym, ułatwiającym odebranie życia innej osobie. Np. art. 227 naszego kodeksu karnego stanowi: „kto zabija człowieka na jego żądanie i pod wpływem współczucia dla niego“, „kto namową lub przez udzielanie pomocy doprowadza człowieka do targnięcia się na własne życie, podlega karze więzienia do lat 5“.

Jedno z czasopism krajowych pisze, że: „Światowa Organizacja Zdrowia przy Organizacji Narodów Zjednoczonych ogłosiła sprawozdanie, z którego wynika, iż w ostatnich czasach potęgują się skłonności do samobójstw wśród ludzi starych. W większości krajów zachodnio - europejskich, a więc w Belgii, Francji, Holandii, Szwecji, Włoszech, Niemieckiej Republice Federalnej, większość ludzi szukających ucieczki przed trudami i beznadziejnością w śmierci, znajduje się w wieku ok. 70 lat i wyżej. W Kanadzie, w Stanach Zjednoczonych krytycznym wiekiem są lata 60—69, zaś w Danii między 65 a 74 rokiem życia. U kobiet przychodzi kryzys, a więc skłonność do samobójstw, zazwyczaj 10 lat wcześniej. Najczęstszymi powodami samobójstwa są: bezrobocie, niepokojna sytuacja polityczna, ubóstwo i duchowy rozstrój. Starzy ludzie, zarówno bogaci, jak i ubodzy, są wytrąceni z równowagi najbardziej na skutek zmian ich socjalnej roli, wśród otoczenia, spowodowanej wiekiem. Nie umieją się oni dostosować do zmian, jakie dokonują się w ich otoczeniu, i czują się wyobcowani ze swego dotychczasowego środowiska.

Sprawozdanie powyższe wywo-

łało zaniepokojenie szczególnie z tego powodu, iż w wymienionych krajach istnieją najróżnorodniejsze i najnowocześniejsze zakłady dla ludzi starych. Okazuje się, że nie zdołały one rozwiązać problemu ludzi starych i związanej z podszłym wiekiem konieczności przemian.

Samobójca — według naszego przeświadczenia — to człowiek który utracił radość i sens życia, który zerwał duchową łączność z Bogiem i z ludźmi i poczuł się nikomu niepotrzebny. Człowiek, któremu zabrakło sił do przezwyciężenia przeciwności, który stracił wiarę w siebie i wszelką nadzieję. To człowiek, który znudził się na ziemi, zgubił drogę do innego świata, do Boga.

Słaby system nerwowy, osłabienie woli jest także zawsze następstwem zubożenia życia duchowego i myślowego bezładu.

O wpływie życia psychicznego na rozwój i regenerację organizmu ludzkiego mówi nam wiele współczesna medycyna.

Prawdziwość tego spostrzeżenia potwierdziły obozy koncentracyjne z okresu ostatniej wojny. Ludzie w pełni, często słabi, ale o bogatym życiu wewnętrznym znaleźli dość sił fizycznych, by przetrwać najcięższe próby. Wszyscy jesteście nam potrzebni, a życie nasze, to służba Bogu i człowiekowi.

Każdy więc, kto chce pomóc innemu człowiekowi opuszczonemu i zawiedzionemu, niech idzie do niego i powie, że jest jego bratem, że mamy wspólnego Ojca, że choć różną klasą — jedziemy w jednym kierunku i że gdzieś nastąpi jakieś wielkie i ostateczne wyrównanie.

Niech powie jemu, że nic w naturze nie ginie, ani jedna łza, ani skurecz twarzy, ani ludzkich uśmiech.





Szymon Bogusławski, uczeń 8 klasy gimnazjum, odwiedza swojego profesora łaciny, Starczyńskiego. Mówi mu o swoich zamiarach i konfliktach i szuka u niego pomocy. W duszy profesora odżywiają wspomnienia jego młodości. Seminarium duchowne, miłość, dramat wewnętrzny i rezygnacja ze stanu duchownego — oto fragmenty jego życia.

Starczyński cieszący się szacunkiem w małym mieście utrzymuje kontakt towarzyski z inteligencją, w tym i z miejscowym proboszczem. Na jednej z proszonych kolacji na plebanii, ksiądz proboszcz dzieli się z zebranymi przyjaciółmi refleksjami po 40 latach kapłaństwa. Mówi o wielkiej rozpiętości między młodzieńczym ideałem kapłaństwa a codzienną rzeczywistością, mówi o stosunkach między duchownymi i hierarchią kościelną, które często są zaprzeczeniem Chrystusowego ideału kapłaństwa. Należy zreformować wychowanie kapłaństwa. Duchowny ma być nie tylko kapłanem, ale i pełnym człowiekiem, związanym z życiem swego narodu, z rodziną i ojczyzną. Oto wniosek, jaki można wyciągnąć ze słów starego duszpasterza. Starczyński lubił przejażdżki sankami. W czasie jednego ze spacerów sankami spotkał siostry zakonne, które zbierały ofiary na klasztor. Podczas rozmowy z zakonnicami dopytywał się o siostrę Leontynę, którą znał przed kilku laty jako Wisławę Różańską. Obudziły się w nim wspomnienia. To on winien, że przywdziała habit, że znalazła się w klasztorze. Jego wstąpienie do seminarium zaważyło na jej życiu.

Dowiadujemy się później, że siostra Leontyna, mimo kilkuletniego pobytu w klasztorze nadal żywi dla niego gorące uczucie. Czuje bowiem, że jest stworzoną do macierzyństwa, do zwykłej ludzkiej miłości, aby jako żona i matka zachowując prawo Boskie być pożyteczną dla Ojczyzny i Kościoła.

Pełna duchowej rozterki zwierza się kapłanowi na spowiedzi, który udziela jej rady.

Było jej znowu zimno, ale tak równocześnie tragicznie, że mechanicznie chwyciła za stojącą na stole karafkę za zimną wodą i piła dużo. Spuściła rolety i chociaż dawno było ciemno teraz dopiero podeszła do kontaktu i włączyła światło.

Stała przed lustrem. Wystraszyła się widokiem swojej zmęczonej twarzy i zaczerwienionymi od płaczu oczami. Wyjęła z torebki puderniczkę, którą na wszelki wypadek nosiła ze sobą, i po raz pierwszy zaczęła pieczołowicie pudrować swoje lica mocno, przyjemnie pachnącym pudrem.

Wtem ktoś zapukał do drzwi. Wisława nie odezwała się. Po chwili pukanie powtórzyło się.

— Proszę — wyrzekła. Wszedł z rozjaśnioną miną Szymon, a tuż za nim — Hieronim Starczyński.

— Hieronimie! — wykrzyknęła Wisława i opuściła na podłogę puderniczkę.

— Hieronimie — rzuciła się ku niemu.

Hieronim był wyraźnie zaskoczony takim przywitaniem, zwłaszcza wobec Szymona, swojego ucznia. Szymon jednak szybko wycofał się z pokoju i zamknął za sobą drzwi.

Wisława oplotła swoimi rękami szyję Hieronima. Ten był zrazu zimny i obojętny, jednak ciepło jej rąk i ciała szybko rozgrzało i jego ręce. Przebaczył. Przytulił ją do siebie. Jak kiedyś i teraz dreszcze przechodziły po jego ciele, zwłaszcza gdy coraz mocniej rękoma dotykał jej ciała, gdy wyczuł jej tęsknotę, gdy zobaczył jej dobre, zapłakane a jednak rozradowane oczy.

Nie mówili już teraz nic. Uścisk coraz mocniejszy był ich rozmową. Zetknęły się ich policzki. Całował jej pachnące włosy. Wreszcie spotkały się ich usta, usta tak długo na siebie czekające. Zwarli się jeszcze w mocniejszym uścisku i zamknęli go długim, pierwszym pocałunkiem — pocałunkiem, zastępującym słowa przebaczenia, powitania i kosze, bogate kosze róż zaręczynowych.

## KSIEGA DRUGA

Życie miasta Przemysławic płynęło utartym szlakiem. Niedużo było w nim zmian. Niewiele nowości. Zima jedna

podobna drugiej. Tylko między ludźmi zadzierzgały się coraz to nowe i ściślejsze więzy. Rodziły się nowe plany w niektórych umysłach, zwłaszcza wśród niedużego grona obywateli biorących sumiennie i wytrwale udział w dyskusjach odbywanych w większości wypadków na zmianę u proboszcza, burmistrza lub dyrektora gimnazjum. Zresztą do grona tego trudno było się dostać. Na jednym z ostatnich wieczorów dyskusyjnych proboszcz napomknął, że dobrze by może było, żeby znowu kogoś nowego do grona zaprosić i wspomniał o Marcinie Bogusławskim. Wszyscy wprawdzie go znali, jako człowieka uczciwego i pracowitego, ale postanowili się jemu jeszcze bliżej przypatrzeć. Bardzo rzeczowo sklasyfikował go Starczyński niezależnie od opinii polecającej księdza proboszcza. Poznał go zresztą w ostatnich tygodniach jako tako, bywając kilkakrotnie u Bogusławskich — począwszy od owego pamiętnego wieczoru pierwszego Święta Bożego Narodzenia. Odłożono mimo wszystko tę sprawę na dalszy plan. Odbywano dalej konferencje, radzono, dyskutowano. Praca i życie biegło starymi ścieżkami.

Nowymi jednak kolejami biegło życie Szymona Bogusławskiego, jego życie wewnętrzne, światopogląd i zamierzenia ukryte nie dające się zaobserwować, a znane tylko z jego zwierzeń przed Hieronimem Starczyńskim.

Szymon przy swoich dziewiętnastu latach był już dojrzały. odczytany i rozwijał się nad wyraz szybko. Acz dzieliła go ze swoim wychowawcą nieduża różnica wieku — Starczyński kończył 26 rok życia — łączyło go z nim mocne pokrewieństwo wewnętrzznego życia, a ściślej jeszcze zespoliły ostatnie tygodnie.

Długo nie mógł Szymon ochłonąć z wrażenia, jakie na nim wywarło spotkanie Wisławy z jego profesorem. Wprawdzie szybko wybiegł wtedy z pokoju, ale wolno schodząc po schodach, rozważał dokładnie niezmierną czułość, przywiązanie, potęgę uczuć, jaka uwidaczniała się w pierwszych słowach powitania. Czuł, że tych ludzi łączy jakaś olbrzymia siła, że naciągnięte jakimś niezwykłym wydarzeniem struny ich życia zadźwięczały mocarnie, spotkali się. Ci ludzie kochają się — pomyślał.

W pierwszy dzień rozpoczęcia drugiego półrocza szkolnego spotkawszy Szymona na korytarzu szkolnym, profesor Starczyński zaprosił go na kawę do siebie. Uważał, że bądź co bądź sporo zawdzięczał Bogusławskiemu, chciał się więc w ten sposób odwdziżyć. Poza tym ogromnie polubił Szymona i za jego taktowne oddalenie się w ów wieczór, i za dobre wrażenie jakie wywarł na Wisławie. Przypomnił sobie wreszcie, iż winien jest Szymonowi przyobiecanej rozmowę. Gdy był sam, czuł ogromną pustkę. Nie wiedział dokładnie czy to jest tylko odżyła na nowo tęsknota za Wisławą, czy też głód miłości. Wiedział natomiast, że niedobrze jest mu samemu, że coraz bardziej odczuwa potrzebę towarzystwa, że dusi się bez ludzi, jak ryba wydobyta z wody. Zresztą, tyle miał do powiedzenia Szymonowi, że chciał co prędzej rozpocząć swe wywody, jakby się bał, iż w miarę narastania chwil, myśli te się umniejszą czy ulotnią. Czuł się w roli ucznia, który wyuczywszy się materiału egzaminacyjnego, chce możliwie zaraz odpowiadać, bo nie jest pewien czy później nie pogmatwają się w jego myśli definicje i reguły.

Idąc ze szkoły wstąpił do kawiarni, kupił ciastek i cukierków. Na kwadrans przed przyjściem Szymon począł się krzątać około kawalerskiej zastawy. Sam nakrył pożyczonym obrusem mały okrągły stolik, stojący tuż obok forte-





pianu w lewym rogu pokoju. Postawił na nim dwie szklanki, dwa talerzyki, w środku zaś stołu większy szklany talerz z ciastkami. Wreszcie położył łyżeczki, dostawił cukier i mleko i wszystko przykrył białą serwetą. W pewnej chwili opadły go wątpliwości i opanował niepokój, jakby wstyd przed samym sobą, że on, profesor, tyle robi ceregieli i tak jest przejęty wizytą zwykłego ucznia. Szybko jednak rozwał te skrupuły stwierdzeniem, iż nie tylko ucznia, ale w pełni dojrzałego człowieka przyjmuje u siebie w osobie Szymona Bogusławskiego. Jeszcze kilka lat, dodał w myśli, a będzie cn samodzielny i z pewnością pożytecznym człowiekiem, a może i wybitnym działaczem czy naukowcem.

Zadźwięczał dzwonek. Starczyński sam otworzył drzwi i grzecznie, o wiele grzeczniej niż kiedyś, powitał Szymona i poprosił do pokoju. Wskazał mu krzesło, a sam od razu wyjął z komody przywiezioną od swego ojca grzałkę elektryczną, włożył do przygotowanego czajnika z wodą i włączył kontakt. Obok stał mały czajniczek z herbatą.

Zanim woda się zagotowała, a herbata naciągnęła, profesor opowiadał ogólnikowo o krótkim, ale miłym pobycie u swego ojca. Onieśmielony Szymon milczał. Zauważył ogromną zmianę stosunku profesora do siebie. Nieśmiałym okiem wodził po pokoju i rozpoznawał niektóre przedmioty znajdujące się w nim, a widziane w czasie swojej pierwszej u profesora wizyty. Na biurku zauważył stojącą w dużej, srebrnej oprawie fotografię znanej sobie osoby. Tej fotografii wtedy nie było. Wyteżył nieco wzrok i po chwili odczytał, umieszczony w dolnej części fotografii napis fioletowym atramentem: „Kochanemu mojemu Hirkowi w dniu wskrzeszenia przerwanej miłości. Slawa. Przemysławice, 26.XII.1929 r.“.

— No, proszę, kochany Szymku — rzekł profesor, stawiając jedną ręką na stoliku szklankę z parującą herbatą, a drugą ręką zdejmując równocześnie serwetę.

— Zanim przejdę do przedstawienia tobie pewnych fragmentów swoich czasów studenckich — powiedział profesor — a sądzę, że to zastąpi całkowicie odpowiedź na twoje pytania, muszę ci wyjaśnić swój stosunek do panny Wisławy.

— Znam ją od dawna, bo jeszcze z czasów gimnazjalnych. Chodziliśmy razem na przechadzki. Dyskutowaliśmy zagadnienia i problemy życiowe. Było nam dobrze ze sobą. Poznaliśmy się i polubiliśmy się, a raczej nawet, tak — na pewno, pokochaliśmy się. Aż tu nagle dowiaduję się o testamencie mojej matki...

Tu profesor opowiedział Szymonowi szczegółowo dzieje i treść nieszczęśliwego testamentu swojej matki, kończąc na nagłym wyjeździe Wisławy z ich miasta i jej wstąpieniu do klasztoru.

— Był to dla mnie cios wielki, tym większy, iż zbiegł się on ze śmiercią mojej drogiej matki — mówił Starczyński.

Szymon słuchał z głębokim zainteresowaniem i pilną uwagą. Polykał po prostu słowa profesora. Profesor zaś rzecz ciągnął dalej; opowiedział mu pokrótce o swojej rozłące z Wisławą, jej kłopotach klasztornych, wystąpieniu z klasztoru i wreszcie o swoim spotkaniu z nią po siedmiu latach, właśnie w domu rodziców Szymona. Słuchając opowiadań Starczyńskiego, Szymon rozczył się. Starzał się wczuć w położenie tych dwojga ludzi. Zrozumieć. Wyrozumieć. Zresztą niejedno słyszał już od panny Wisławy. Teraz mglisty obraz nabierał wyrazu w miarę jak przybywało szczegółów.

Dawno już wypili herbatę i zjedli niemal wszystkie ciastka. Ani Szymon jednak, ani Starczyński nie zwracali na to uwagi. Szło im o rzeczy ważniejsze. Te ich pasjonowały.

Starczyński mówił dotąd głosem i tonem raczej poważnym. Teraz nagle ożywił się i stał się nawet wesoly. Wstał, podszedł do biurka, wziął w rękę z miną triumfatora dużą ramkę z fotografią i ostentacyjnie pokazał ją Bogusławskiemu.

— Oto ona — rzekł Hieronim. — Oto, moja droga Sawu, kochana narzeczoną.

Chcąc uczcić uczucie profesora, Szymon też wstał, a podszedłszy nieco ku swemu łacinnikowi, przekonał się, iż dobrze odczytał umieszczony napis u dołu portretu — wskrzeszona miłość — te dwa wyrazy dominowały.

Powiedział, zdaje mi się, Tołstoj — rzekł profesor — że



dwie niezwalczone istnieją na świecie potęgi, mianowicie: miłość i głód. Nie doznałem jeszcze na sobie na szczęście potęgi głodu, choć czuję, że musi ona być duża, mocniejsza i silniejsza od huraganu, wody, ognia, zwłaszcza gdy jest zespolona sumą wielu jednostkowych sił głodu. Wiem jednak — ciągnął łacinnik dalej — jak głęboką i mocną potęgą jest miłość.

— Ty jesteś, Szymku, teraz w tym wieku, w którym ja ze względu na swoje dość ciepłarniane wychowanie mało, albo nic nie wiedziałem o ważnych problemach życiowych. Na podstawie zaś obserwacji istnienia dwóch płci, dochodziłem do pewnych własnych konkluzji — domysłów, osobistych stwierdzeń. Jednak niemal od razu zrozumiałem wszystko wtedy, gdy zetknąłem się z reprezentantką tej drugiej milej i sympatycznej płci, moją Wisławą.

Cała problematyka miłości stanęła od razu przede mną. Bywałem często w poważnym kłopotcie. Rodziły się najróżniejsze myśli, pragnienia. Nie miałem się kogo poradzić. Decydowałem więc sam, a właściwie decydowaliśmy oboje: Wisława i ja. I nasza miłość pozostała do dnia dzisiejszego tą pierwszą, wielką, czystą miłością. Nie splamiliśmy jej. Kochaliśmy się i kochamy się gorąco i czysto, chociaż oboje wystąpiliśmy z oficjalnej służby Bożej. Ona i ja.

— No, a jak spędziłeś wakacje świąteczne? — zagadnął Szymon po chwili profesor — celowo przechodząc dla wy-pocynku na inny, lżejszy temat.

— Wakacje spędziłem dobrze, ale może pan profesor zechce łaskawie opowiedzieć mi coś z czasów swoich studiów. Bardzo jestem ciekawy. Ogromnie chciałbym rozwiać swoje wątpliwości. Bardzo chciałbym znać opinię pana profesora w tych zagadnieniach, o których swego czasu mówiłem panu.

Starczyński chwilowo nic nie odpowiedział. Wstał, Podszedł do szafy, jedyne starego mebla w dość nowoczesnie urządzonym pokoju. Zdjął z jej górnej części niedużą, czarną walizeczkę i postawił na biurku. Po chwili pokój napelniał się miłymi dźwiękami uczuciowej partii opery Moniuszki „Halka“. Obaj, profesor i uczeń wsłuchali się w jej piękno i czar. Tyle razy już słyszeli tę pieśń, ale znajdowali w niej ciągle nowy urok. Dzisiaj zaś, po owych wzniosłych, świętych słowach o miłości, zawołania: „oj, Halino, oj jedyna, dziewczyno moja“ — miały specjalną wymowę. Jeden i drugi rozumieli, że tęskniącym Jontkiem jest Starczyński. Halką zaś palająca szczerą miłością ku Jontkowi Hieronimowi — Wisława.

Pieśnią tą zakończył profesor pierwszą część rozmowy. Dalej nie wiedział od czego rozpocząć. Chciał szczerze wszystko Szymonowi opowiedzieć. Tak jak było, realnie, bez osłonek, ale nie znajdował sposobu. Po namyśle rozpoczął jednak znowu opowiadać:

— Rektor Seminarium Duchownego był człowiekiem wysokiego wzrostu, średniej tuszy, o ascetycznym wyglądzie twarzy. Przyjął mnie serdecznie. Gdy wszedłem do jego gabinetu, wstał, podszedł nieco do mnie i podał mi rękę, po czym wskazał mi krzesło. Powiedziałem krótko swoje życzenie i na dużym dębowym biurku zastłanym książkami i papierami, złożyłem wniosek wraz ze świadectwem dojrzałości, curriculum vitae i metryką chrztu. Rozmowa trwała krótko. Rektor dał mi kilka pouczeń odnośnie zestawienia formalności, a bystro i wnikliwie patrząc na mnie, powiedział, iż o decyzji zostanie powiadomiony w ciągu najbliższych trzech tygodni.



o Polsce prehistorycznej wiemy bardzo niewiele, a i te szczupłe wiadomości, które posiadamy, nie mogą stanowić pewnika. Historyczne dzieje państwa polskiego rozpoczynają się w drugiej połowie X wieku. Pierwszy polski historyczny władca, Mieszko, panował nad pogańskimi plemionami w dorzeczu Odry i Wisły. Plemiona te czciły Światowida i Peruna, Ładę i inne bóstwa, składając im ofiary i odprawiając na ich cześć obrzędy. Powiedzieć by się chciało, że dzieje narodu i państwa polskiego rozpoczynają się z chwilą przyjęcia chrześcijaństwa. Chrzest Polski — to wydarzenie, które zaważyło na losach narodu.

Data Chrztu Polski jest pierwszą najpoważniejszą datą historyczną w dziejach Polski. W wyniku przyjęcia chrztu następowały dalsze fakty — zjazd w Gnieźnie, koronacja Chrobrego i inne. Z drugiej jednak strony, wychodząc z czysto laickiego punktu widzenia, nie możemy pominąć tak doniosłych wydarzeń, jak łączenie poszczególnych plemion, niezależnie od później przyjętego chrztu. Nie wolno nam (ludziom wierzącym) umniejszać tego na wskroś politycznego czynnika. Mieszko I wcześniej ukazał się na widowni dziejowej, a przyjęcie chrztu było do pewnego stopnia koniecznością, wpływającą stąd, by sąsiadom nie dać możliwości mieszania się w wewnętrzne sprawy Polski, pod pozorem nawracania na wiarę chrześcijańską. Chrzest Polski zapoczątkowany przez chrzest osobisty Mieszka I i jego dworu był procesem długotrwałym. W narodzie składającym się z plemion takich jak: Dziadoszanie, Bobrzanie, Ślężanie, Opolanie, Lubuszanie, Polanie, Pyrzyczanie, Wolinianie, Kujawianie, Mazowszanie, Wiślanie



Łędzianie żywe były jeszcze w owym czasie lokalne wierzenia pogańskie. Chrzest miał jednak doniosłe znaczenie chociażby z politycznych względów, miał wpływ bowiem na organizację państwową i na zapewnienie Polsce miejsca w chrześcijańskiej Europie. Nie jesteśmy powołani do tego, żeby go umniejszać. Trzeba jednak przy sposobności zwrócić uwagę, że narodom słowiańskim nieśli światło wiary Chrystusowej, nieśli Ewangelię słowiańscy apostołowie Cyryl i Metody, którzy działali na ziemiach słowiańskich już w IX w. Apostołowie ci trzymali się wiernie zasady Kościoła Pierwotnego, który nakazywał swym misjonarzom by głosili Ewangelię w językach zrozumiałych dla narodów. Toteż Cyryl i Metody nie tylko w narodowych językach Słowian nau czali, ale również w tychże językach sprawowali wszystkie obrzędy. Morawscy Słowianie (a do nich należeli także i Małopolanie) sprzeciwiali się nabożeństwu zaprowadzonym w języku łacińskim, do-

magając się, aby mogli modlić się w języku ojców.

Historyk Mateusz z Miechowa pisze: „Kroniki stanowczo udowadniają, że w 949 r. Morawianie założyli na Kleparzu koło Krakowa kościół św. Krzyża, że tam mieli sprawować liturgię w języku polskim“ (Math. de Miech. in. lib. I Cap. 13).

W głębokim Średniowieczu polskim następuje szybki wzrost świadomości narodowej, który przejawia się między innymi w walce o język narodowy. Język narodowy zdobywa prawo obywatelstwa w Kościele. Powstają modlitwy i pieśni w języku polskim. Nieistotne jest to, czy możemy „przywłaszczyć“ sobie Cyryla i Metodego. To jest zagadnienie, które nurtuje historyków toczących w tej materii spory ze sobą. Nie mamy zamiaru. Jak już zaznaczyłem, umniejszać roli chrztu Polski. Ale obok tych wszystkich zagadnień musimy postawić sprawę jakże istotną — od zarania dziejów idzie z polskim chrześcijaństwem polska pieśń religijna, polska modlitwa, a od XIII w. i polskie kazanie. Wszak synod łączycki w 1285 r. postanowił, aby obowiązki duchownych w szkołach pełnili ludzie znający język polski, i zalecił odmawianie modlitw po polsku, a także głoszenie kazań w języku ojczystym i śpiewanie polskich pieśni religijnych. A potem notujemy wystąpienia jednostek, zespołów, grup czy stanów domagających się polskości w Kościele. Wystąpienia te — powiedzmy — nie są ujęte jeszcze w ramy organizacyjne. Złożyły się na to różne przyczyny, że Kościół w Polsce nie przyjął ram narodowych, że dopiero w naszych czasach wykrystalizowało się pojęcie polskiego katolicyzmu.



# JEDZIEMY

DO

WÓD

Modne są i powszechnie lubiane przez ludzi wyjazdy do różnych uzdrowisk, a jak się to dawniej mawiało — do wód lub z cudzoziemska — kurortów. Można by się zapytać, czy to tylko moda i miłe otoczenie powodują napływ kuracjuszy do uzdrowisk. Od tysiącleci ludzie cierpiący i trapieni przez różne choroby korzystali z cudownych właściwości różnych źródeł, których wody kołysły ból, przynosiły ulgę, leczyły. Niezwykłość wód niektórych źródeł wytryskujących wśród skał lub sączących się gdzieś w zaciszu, przykuwała uwagę ludzi. Woda ta różniła się od wody studziennej czy rzecznej smakiem, kolorem, zapachem, ga-

zem bulgocącym w niej i ulatniającym się w postaci banieczek bądź też temperaturą.

Ludzie pili takie wody lub zależnie od potrzeby kąpali się w nich, a zdobyte doświadczenia przekazywali młodszemu pokoleniom. I tak rosła sława lecznicztwa zdrojowego. Niejednokrotnie też archeolodzy odkrywają stare urządzenia balneologiczne, jak np. sprzed 3 tysiące lat u źródła w zdroju Maurycjusza w Saint Moritz w Szwajcarii lub termy z okresów starogreckiego czy starorzemiejskiego.

Niezwykle cenne i w wielu przypadkach skuteczne w leczeniu właściwości wód zdrojowych powstają drogą skomplikowanych przemian przyrodniczych. Wiadomym jest, że ściekające np. w górach wody z topniejących śniegów lub deszczowe przesiekają w głąb ziemi wszelkimi szczelinami, kanalikami itp. drogami, oczyszczając się po drodze oraz wchłaniając wiele różnorodnych cząstek mineralnych. Nasycone w ten sposób wody różnymi składnikami chemicznymi, jak np. jonami żelaza, magnezu, sodu, wapnia, bezwodnika kwasu węglowego, siarkowodoru oraz różnorodnych soli, gazów szlachetnych i związków organicznych posiadają bogactwo czynników leczących. Potwierdza się w wodach mineralnych obecność izotopowa metali ciężkich, jak np. miedzi, cynku, magnezu czy kobaltu w cząsteczkach wprost niejednokrotnie prawie

że nie wykrywalnych, ale wpływających dodatnio na organizm ludzki. Istnieją wody radocenne, jak np. źródła Świeradowa albo arsenowe jak źródła Kudowy, czy nowo odkryte w rejonie Bieszczad. Znane są powszechnie wody solankowe czy słonowodne w Ciecuchowie, Inowrocławiu, Kamieniu. Cenne niezmierznie są źródła solankowo-siarczane w Busku czy Solcu, lub też niezastąpione szczawy alkaliczne w Szczawnicy Zdroju, Szczawnie na Śląsku czy Krynicy. Wiedza medyczna o własnościach leczniczych źródeł mineralnych, czyli balneologia, doskonali się coraz bardziej w poznawaniu właściwości wód mineralnych i stosowaniu ich w lecznictwie. Wyniki leczenia są niejednokrotnie w wielu przypadkach znakomite. Dzieje się to dlatego, że ten wieloraki układ różnych składników gromadzi się w harmonijny system bodźców leczniczych o różnym natężeniu wartości biologicznej. Jako naturalny wytwór przyrody, działa niejednokrotnie skuteczniej niż sztucznie otrzymywane środki farmakologiczne. Naturalne mineralne wody lecznicze są roztworami o wysoce złożonej budowie fizyko-chemicznej, której nie można odtworzyć żadnym sztucznym, laboratoryjnym sposobem. Dziś nauka wykazała, że nie wystarczy sztucznie nasycić wodę destylowaną odpowiednią ilością miligramów wa-

pnia, sodu, magnezu, żelaza, kwasu węglowego itd., itp. aby otrzymać wodę mineralną. Taka woda jest „martwą“. Naturalna zaś woda mineralna jest biologicznie żywa. W wewnętrznej strukturze tych wód leży istotna przyczyna ich biodynamicznych, czyli życiodajnych właściwości i leczniczego działania. Każdy rodzaj wody mineralnej ma właściwą sobie, niepowtarzalną strukturę, polegającą na specyficznym układzie atomów, jonów i molekuł i nic oraz nikt — jak dotąd — nie jest tego w stanie powtórzyć. Z tego też to wynika, że niejednokrotnie bardzo podobne do siebie, czy też blisko siebie położone źródła posiadają wody mineralne o bardzo odmiennym oddziaływaniu na organizm.

Zrozumiałe teraz się staje, że wyjazdy do uzdrowisk — to nie tylko przyjemność, ale przede wszystkim najlepsza droga uzdrawiania schorzonego czy przemęczonego organizmu ludzkiego przez poddanie go działaniu natury i naturalnych środków leczniczych. Uzyskuje się to przez zabiegi stosowane w kuracji zdrojowej jak wszelkie kąpiele, natryski, inhalacje, okłady borowinowe oraz kuracja pitna — stosowane według wskazań lekarzy zdrojowych.

Jak stosować naturalne przetwory zdrojowe w kuracji domowej, napiszemy następnym razem.

JAN DAMI

## SPRAWY Dnia dzisiejszego

### CREDO O „DEDO“

Latem 1947 r. przed warszawskim sądem stanęli dwaj aferyści, którzy skradli 50 ton cyny, pochodzącej z dostaw UNRA-a przeznaczonej dla potrzeb naszego odbudowującego się przemysłu. Sąd skazał sprawców kradzieży: Wiktora Lipińskiego i Zygmunta Sałacińskiego na karę śmierci.

Już przed 13 laty surowy wyrok sądowy stanowił sam przez się przestrożę dla tych wszystkich, którzy chcieli dorabiać się kosztem mienia społecznego.

Wydawało się, że to właśnie ostrzeżenie podziała odstrasza-jąco i pedagogicznie. Niestety...

W 1960 r. bez mała przez trzy miesiące w Warszawie toczył się proces aferzystów skórzanych. Główny „bohater“ tego procesu Galicki skazany został na dożywotnie więzienie.

W Kielcach wspólnicy Galickiego z osławionym Bolesławem Dedo na czele zasiedli też na ławie oskarżonych. W wyniku drobiazgowej rozprawy sąd kielecki w końcu grudnia 1960 r. skazał: Bolesława Dedo na karę śmierci, trzech innych oskarżonych (Siczka, Woźniakiewicza i Stempnia) na dożywotnie więzienie. Pozostali oskarżeni, ci co kradli skóry i ci, którzy zajmowali się paserstwem, zostali skazani na długoletnie więzienie.

Ponieważ rozprawa odbywała się w trybie doraźnym, wyrok jest ostateczny i prawomocny. Zaskarżeniu nie podlega.

Kim byli skazani?

Byli to „działacze spółdzielczy“, którzy przez 10 lat korzystali z bezkarności! Ale przyszedł dzień, kiedy dosięgła ich ręka sprawiedliwości. Możliwość tak długotrwałej działalności przestępczej tłumaczy się atmosferą terro-ru, jaki stosował Dedo wobec wszystkich, którzy mu w jakiś sposób przeszkadzali. Dedo i jego szajka kradli. Ludzie to widzieli. Organa kontrolne były skorumpowane przez przestępczy gang. Zawiodła społeczna kontrola. Dopiero, kiedy szajka zna-

lazła się pod klucz, ludziom otworzyły się usta. Mimo oczywistych dowodów ich przestępczej działalności — usiłowano ludzi nadal terroryzować, tłumaczyć świadkom, że Dedo i jego kompani są „ofiarami“ ludzkich złych języków. Tym naiwnym tłumaczono i zapewniano ich, że szajka wcale nie ukradła skór wartości wielu milionów złotych, że jest to... nieporozumienie itd.

Na marginesie tych procesów wywołujących zrozumiałe oburzenie wśród ludzi uczciwych — trzeba wysunąć wnioski i naukę ze smutnych zjawisk naruszania społecznego mienia i ujemnych zjawisk, których częstotliwość — niestety — jest u nas zbyt wielka.

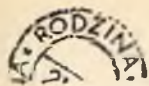
W naszym życiu rodzinnym i społecznym zbyt mało zwraca się uwagi na elementarne zasady uczciwości codziennej. W domu jakże często każe się dziecku odpowiadać przez telefon: tatusia lub mamusi nie ma, podczas kiedy ten tatuś siedzi przy stole i czyta gazetę. Nietrzymanie najprostszyc zobowiązań jest regułą w naszym społeczeństwie. Nie wywiązywanie się z

obowiązków wobec rodziny — znajduje swą niepokojącą wymowę w licznych skargach sądowych — matek, skarżących swych mężów np. o alimenty. Ilość aresztów na poborach, będących wynikiem złośliwego uchylania się od regulowania powziętych zobowiązań, jest katastrofalnie wysoka i świadczy o zmniejszonym generalnym poczuciu odpowiedzialności. Codziennie legiony ludzi pogrążonych w nałogu alkoholizmu — świadczą o rozplenianiu się tej plagi. Rośnie rejestr skazanych. Rośnie ilość ludzi popadających w kolizję z prawem, moralnością społeczną, z elementarnymi zasadami etyki.

Trzeba — i powiedzmy sobie to po męsku — rozpocząć walkę o dusze naszych braci i sióstr. Trzeba rozpętać ją przeciw nieprawościom, jakie zadomowiły się w życiu codziennym wielu ludzi. A walka prowadzona musi być przez wszystkich, a przede wszystkim m. in. przez Kościół, którego doktryna moralna oparta o Dekalog reguluje stosunek człowieka do życia i zjawisk go otaczających.

(A. K.)





# ANGINA



CHOROBA co najmniej tak pospolita jak grypa, często zresztą zupełnie niesłusznie utożsamiana z gripą. Angina jest jednak zupełnie innym schorzeniem. Jest to ostre zapalenie tkanki limfatycznej gardła, migdałków podniebnych i całej błony śluzowej gardzieli. Angina najczęstsza jest w okresie jesieni i wczesnej wiosny, ale zdarzać się może i w każdej innej porze roku.

Rozróżniamy parę rodzajów anginy, do najczęstszych należy angina nieżytowa i zatokowa. Przyczyną anginy są bakterie, najczęściej paciorkowce, czasami gronkowce lub dwoinki. Być może, że niektóre anginy wywołują również i wirusy.

Zakażenie następuje wskutek kontaktu z chorym, czasami też przez przedmioty używane przez chorego. Bezpośrednim, wywołującym powstanie anginy momentem jest przeziębienie, przemoczenie nóg, zmarznięcie. Ludzie cierpiący na przewlekłe zapalenie migdałków podniebnych czy bocznych zatok nosa są dużo skłonniejsi do zachorowania na anginę niż inni. Czasami anginę wywołają też może próchnica zębów, bowiem zepsute zęby są siedliskiem różnorodnych bakterii.

Chłowiek dobrze odżywny, wypoczęty jest bardziej odporny na tę chorobę niż człowiek przepracowany, zmęczony, źle lub nieregularnie odżywiający się.

Angina najczęściej rozpoczyna się nagle bólem gardła, głowy i wysoką (39-40°) temperaturą. Często również występują dreszcze i bóle stawów. Wysoka temperatura utrzymuje się przez okres 2 do 4 dni. Tętno i oddech jest przyspieszony, język chorego jest obłożony. Samopoczucie wyraźnie źle. W drugim dniu choroby migdałki pokrywają się białozłoty nalotem. Pod koniec 3 lub 4 dnia choroby temperatura opada do 37-37,5°, naloty powoli ustępują, chory silnie się pocie. Taki jest przebieg najczęściej spotykanej anginy, tzw. anginy zatokowej. Angina nieżytowa różni się od anginy zatokowej jedynie tym, że nie występują naloty, tylko gardło jest silnie zaczerwienione, a śluzówka gardła rozpułchniona. Angina nie jest chorobą niebezpieczną, dawać może jednak groźne powikłania, jak zapalenie reumatyczne stawów, zapalenie ucha środkowego, zatok bocznych nosa, a nawet czasami zapalenie nerek lub mięśnia sercowego. Powikłania te, na szczęście, są raczej rzadkie, ale mogą się zdarzyć, toteż ważne jest odpowiednie postępowanie z cho-

rym. Oczywiście najlepiej jest, jeśli lekarz zbada chorego. Jeśli jednak to jest trudne czy chory już parokrotnie przechodził anginę i mamy pewność co do istoty schorzenia, wówczas postępujemy następująco: chorego kładziemy do łóżka i nie wolno mu wstawać wcześniej! Jak 1-2 dni po zupełnym ustąpieniu gorączki. Możliwie jak najbardziej izolujemy chorego od otoczenia, szczególnie od dzieci, pamiętając, że angina jest zaraźliwa! Podajemy choremu tabletki aspiryny 3 do 5 razy dziennie po 1 tabletkę dla dorosłych, a po pół tabletki dla dzieci. Stosujemy dietę lekkostrawną, nie zmuszając chorego do jedzenia, jeśli nie ma apetytu. Musimy podawać choremu dużo płynów (herbata, woda z sokiem, soki owocowe, kompoty) i witamin. Chory powinien co 2-3 godziny płukać gardło. Do płukania przygotowujemy ciepłą wodę z solą (pół łyżeczki soli na szklankę wody), wodę utlenioną (3-procentową wodę utlenioną w ilości 1 łyżka stołowa na pół szklanki ciepłej wody), ewentualnie roztworem chinololu (pół tabletki na 34 szklanki ciepłej wody). Na szyję 2-3 razy dziennie stosujemy rozgrzewające okłady. Na dwie części wody ciepłej bierzemy 1 część spirytusu, w tym roztworze maczamy, na parę razy złożony, kawałek flaneli lub grubą płat waty, wyciskamy i kładziemy na szyję chorego, na to odpowiedniej wielkości ceratkę, by dokładnie pokryła okład i wszystko razem przybandażowujemy. Każdorazowo okład taki powinien pozostawać na szyi chorego dwie godziny.

Lecząc samemu chorego na anginę pamiętajmy, że nie wolno podawać sulfatazolu ani penicyliny. Te leki może tylko przepisać lekarz. Podając nieumiejętnie sulfatazol czy penicylinę możemy zamiast pomóc - zaszkodzić choremu!

Jak należy zapobiegać anginie?

Przede wszystkim: unikać kontaktu z chorym. W okresie deszczów, śniegów i wichury trzeba wystrzegać się przemoczenia nóg i przeziębienia. A więc nieprzemakalne ubiwanie i ciepłe ubranie! W okresie najbardziej sprzyjającym powstawaniu anginy wskazane jest profilaktyczne zażywanie witaminy C w tabletkach w ilości 3 razy dziennie po 2 tabletki. Jeśli mamy cytryny, zamiast wit. C, możemy z jeszcze lepszym skutkiem, zjadać pół cytryny dziennie.

Wszyscy, którzy często chorują na anginę, powinni zdecydować się na pójście do laryngologa i potem poddać się decyzji lekarza. Czasem konieczne będzie wyluszczenie migdałków, czasami operacyjne leczenie przegrody nosa, lub leczenie zatok.

DR A. MALUSZYŃSKA

PAN JÓZEF ZAWADZKI BRZOZA KRÓLEWSKA. Dziękujemy Panu za miły list. Otrzymał Pan „Poślanictwo” i „Rodzinę”, aby te czasopisma dać tym, którzy się interesują życiem naszego Kościoła, albo tym którzy by się mogli zainteresować. „Kalendarz na rok 1961” wkrótce wyślemy. Mimo że Pan ma 90 lat i 8 miesięcy nie należy myśleć o śmierci w tym sensie, aby interesować się pogrzebem. Bóg wie kiedy każdego ma z tego świata odwołać. Zyczymy Panu i Jego najbliższemu błogosławieństwa Bożego w Nowym Roku. Radzi jesteśmy, że mamy takich ludzi, którzy całym długim swoim życiem potwierdzają, że Kościół Polsko-Katolicki to Baska i polska sprawa.

Zacząmy pozdrowienia.

H. SOKOŁOWSKA — TORUŃ. Za miły list serdecznie dziękujemy. Jest nam bardzo przykro, że nie możemy zamieścić Pani wierszy. I nie dlatego, że są czasem „chropowe”, ale dlatego, że „Rodzina” jest pismem ideowo-praktycznym. Ma wskazywać drogę do Boga i uczyć żyć. Czytelnicy nasi mało się interesują poezją, a z tym nie musimy się liczyć. Współczujemy Pani serdecznie, że straciła Pani najbliższego sobie człowieka. Nie znamy planów Bożych na ziemi. Trzeba Bogu zaufać i żywać wiarą Wielki Płatek ze swej duszy w Wielką Niedzielę zmienić. Państwu Kostkiewiczom na wspólnej drodze Ich życia życzymy błogosławieństwa Bożego i dużo radości. Będziecie radzi gdy nasza „Rodzina” pomoże nowej rodzinie, gdy będzie przez nich czytana i propagowana. A „Rodzina” jest pismem dla ludzi myślących, którzy nie gubią się w tłumie. Składamy życzenia noworoczne i pozdrawiamy.

CZ. SZ. — KROTOSZYN. Dziękujemy za miły list i za nadesłane życzenia. Radzi jesteśmy że czyta Pan „Rodzinę” oraz że interesują Go zagadnienia poruszane w naszym tygodniku. Zdaje Pan sobie sprawę, że praca nasza jest pionierska i wcale niełatwa. Jeżeli w ciągu tysiąca lat głosi się z pokolenia w pokolenie, że poza rzymskim Kościołem nie ma zbawienia, że droga do Boga prowadzi przez Rzym, to fakt taki nie może pozostać bez wpływu na mentalność i psychikę społeczeństwa. Cieszy nas jednak fakt, że świadomość religijna wzrasta, że ludzie coraz lepiej rozróżniają ziarno Boskie od plew ludzkich, religie od polityki, a katolicyzm od watykanizmu. Dlatego powstają nowe parafie, nowe kościoły, ho takie jest prawo rozwoju, którego nikt z ludzi zamienić nie zdoła. Najbliższa parafia polskokatolicka jest chyba Leszno Wilk. Są jednak, perspektywy, że i w woj. poznańskim rozszerzymy naszą misyjną działalność. Dlatego prosimy, żeby Pan nie tylko czytał nasze czasopismo, ale i innych zachęcał. Każdy myślący człowiek i szukający prawdy jest wart więcej niż 100 niemyślących, którzy żyją tylko przekazaną tradycją na prawach atawizmu. Zacząmy pozdrowienia.

## GORZKIE REPORTAŻE

Książka zrodziła się z pomysłu zebrania pod wspólnym tytułem szeregu samodzielnych reportaży Andrzeja Zeromskiego z jego wędrówek po ojczyźnie.

Na okładce — typowy polski krajobraz: pasy soczystej zieleni, drzewa, zabudowania i wieża kościoła — trafnie i pomysłowo oddają charakter książki. Tytuł: „W cieniu plebani”. Dalej są już reportaże. Dobre, ciekawe, bolesne i przykre.

Oto Polska ery kosmicznej, kraj o wielkich i realnych ambicjach politycznych i gospodarczych — jednocześnie kraj średniowiecznych dziwów, synonim zabobonu, fanatyzmu i głupoty. Książka jest nagromadzeniem faktów i zdarzeń, obiektywnie przedstawionych przez autora, w sprawach wiary i kultu religijnego. Byłoby przysłowiowym chowaniem głowy w piasek przymykanie oczu na zatęchły klimat, jaki ciągle jeszcze otacza u nas problemy religii, klimat z wiarą nie mający nic wspólnego. Pietnuje atmosferę ciemnogrodu, w której zawsze

znajdzie się miejsce na obłudę, zakłamanie i fanatyzm pozwalający na najgorszą podłość i krzywdę, dla którego miłość bliźniego jest pustym wyświechtanym frazezem, monetą bez pokrycia. Fanatyzm ten zadaje kłam wszystkiemu co z religią ma coś wspólnego, jest podsycany dla osobistych celów tych, których misją jest służenie prawdzie, wpajanie ludziom pięknych ideałów wiary.

Nie jest przecież nakazem wiary szykanowanie przeciwników ideologicznych, podsycanie nienawiści w szkołach do dzieci, których rodzice nie posyłała na naukę religii, rozniecanie niewybrednymi metodami waśni rodzinnych, szczucie nawzajem na siebie ludzi w imię Boga wie jakich hasel. To nie wiara przeciw zachęca do życia w zbytku i przepychu kosztem niedzy innych.

Takie właśnie fakty przytacza w swoich reportażach A. Zeromski. Te i podobne sprawy nie tylko nie wywołują sprzeciwu wyższej hierarchii kościoła rzymskiego, lecz wręcz przeciwnie są bądź pomijane zupełnie milczeniem, bądź tolerowane ze szkoda dla istotnych celów, jakim służyć winna religia.

Andrzej Zeromski: „W cieniu plebani”, „Iskry” 1960, str. 104, cena 5 zł.

Czy odnowiłeś już prenumeratę „RODZINY” na rok 1961?

### SPROSTOWANIE

Poprzedni numer „Rodziny” (Nr 3) ukazał się omyłkowo z datą 22.I., zamiast 15.I. Przepraszamy naszych P. T. Czytelników za ten przykry błąd.

#### Wydawca:

Wydawnictwo Literatury Religijnej  
Redaguje Kolegium  
Adres redakcji i administracji: Warszawa, ul. Wilcza 31. Telefony: 8-97-84; 21-74-98.  
Zamówienia i przedpłaty na prenumeratę przyjmowane są w terminie do dnia 15 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty przez: Urzędy Pocztowe, listonoszy oraz Oddziały i Delegaty „Ruchu”. Można również zamówić prenumeratę dokonując wpłaty na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch” Warszawa, ul. Srebrna 12. Na odwrocie blankietu należy podać tytuł zamawianego czasopisma, czasokres prenumeraty oraz ilość zamawianych egzemplarzy.  
Cena prenumeraty: kwartalnie — zł 26, półrocznie — zł 52, rocznie — zł 104.  
Cena prenumeraty za granicą jest o 40% wyższa od ceny podanej wyżej. Przedpłaty na tę prenumeratę przyjmuje na okresy kwartalne, półroczne i roczne Przedsiębiorstwo Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch” w Warszawie, ul. Wilcza 46 za pośrednictwem PKO Warszawa. Konto Nr 1-6-100024.

Zakłady Wkłódnodrukowe RSW „Prasa”, Warszawa, ul. Okopowa 58/72. Zam. 20, S-47.

KALENDARZYK TYGODNIOWY NA 4 TYDZIEŃ ROKU 22 — 28 stycznia 1961		Wschód słońca	Zachód słońca
22	N 3 po Trzech Kr.	7,33	16,03
23	P Zaśl. NMP, Ildefonsa	7,32	16,05
24	W Tymoteusza, Felicjana	7,30	16,06
25	Ś Nawr. Św. Pawła M.	7,29	16,08
26	C Polikarpa, Pauli	7,28	16,10
27	P Jana Chryzostoma, Agnieszki	7,26	16,12
28	S Piotra N., Agnieszki	7,25	16,14



# W 150 ROCZNICĘ URODZIN Ks. Dr. J. DZIERŻONA

**W** styczniu br. minęła 150 rocznica urodzin ks. dra Jana Dzierżona, światowej sławy pszczelarza. W r. 1948 nakładem Państwowych Zakładów Wydawnictw Szkolnych, ukazała się niewielka książeczka Mieczysława Tobiasza pt. „Światowej sławy pszczelarz polski ks. dr Jan Dzierżon“.

Jan Dzierżon urodził się 16 stycznia 1911 r. we wsi Łowkowice pod Kluczborkiem na Śląsku. Do szkoły średniej uczęszczał w Byczynie, studia zaś odbywał we Wrocławiu. W 1834 r. otrzymuje on święcenia kapłańskie i zostaje skierowany do Szatkowic jako wikariusz, ale już w rok później, został mianowany proboszczem w Karłowicach. W Karłowicach ks. Dzierżon przebywa prawie 50 lat i cały ten okres pochłonięty jest badaniami pszczelarskimi. Przy tym wiele pisze i publikuje, bądź to w języku niemieckim, bądź też po polsku. W artykułach i książkach, które wydaje ukazuje czar śląskiej ziemi rodzimej.

Jego niezwykle umiłowanie przyrody — jak pisze M. Tobiasz — kazało mu szukać Boga nie tyle w zawitych dogmatach religijnych i wertowaniu pism świętych, ile w podpatrywaniu tajemnic przyrody.

Biorąc żywy udział w wydarzeniach świata pszczelarstwa, ks. Dzierżon, staje się jednym z najpoważniejszych znawców w tej dziedzinie.

Ks. Dzierżon zreformował pszczelarstwo, które do jego czasów było w powijakach, posługując się metodami sprzed wieków. Skonstruował tzw. ul ramowy (o ruchomych plasterach), który pozwolił na wtargnięcie do środka i bliższe przyjrzenie się życiu pszczół. Ks. Dzierżon odkrył partenogenezę, czyli dzierżonizm u pszczół. Uzasadnił, że samice izolowane od kontaktu z samcami mają młode, z jaj zapłodnionych rozwijają się samice, a z niezaplodnionych samce. Ks. Dzierżon pierw-

szy uzasadnił, że matka-pszczola jest jedynie prawdziwie rozwiniętą samicą, zaś pszczoły-robotnice są to samice niedokształcone, które składając jajeczka dają życie, ale tylko trutniom.

Ks. Dzierżon polemizował ze światem naukowym. Prof. Berlepsch po ośmiu latach polemiki z nim uznał się za pokonanego.

W latach 1854—56 ks. Dzierżon był redaktorem miesięcznika: „Bienenfreund aus Schlesien“. Najpoważniejszym dziełem ks. Dzierżona była książka pt. „Theorie und Praxis des Bienenfreundes“. Rządy poszczególnych krajów wysyłały swoich przedstawicieli, aby w Karłowicach badali metodę ks. Dzierżona. Władcy krajów nadawali mu wysokie odznaczenia. I tak car rosyjski, król szwedzki, król pruski, król bawarski, księżęta heski i badenki, cesarz austriacki i niemiecki, król włoski nadali mu wysokie odznaczenia. Towarzystwa naukowe mianowały go członkiem honorowym. W 1872 r. uniwersytet w Monachium nadał mu doktorat honoris causa. Miasta takie, jak: Paryż, Wiedeń, Frankfurt, Gaetz, Werona, Kraków, Lwów nadsyłały ks. Dzierżonowi dyplomy. Wystawy europejskie przysyłały mu nagrody.

Ok. 1870 r. ks. Dzierżon przestał spełniać obowiązki duszpasterskie na skutek zatargów z władzami kościelnymi. Oto co o tym pisze M. Tobiasz: „...Rzecz poszła o stanowisko, jakie zajął Dzierżon w sprawie dogmatu nieomylności papieża w związku z odbywającym się soborem watykańskim. Kilku księży zjechało się na imieniny do proboszcza w sąsiadujących z Karłowicami — Bąkowcach, gdzie Dzierżon twierdził, że tylko Bóg może być nieomylny. Gdy na skutek denuncjacji doszło to do wiadomości Kurii we Wrocławiu, gdzie kosym okiem patrzono na zaniedbywanie przez



Dzierżona obowiązków duszpasterskich dla pszczół. wtedy ten nie tylko nie wytłumaczył się, ale hardo ogłosił w gazetach list podkreślający jego poglądy... Równocześnie zbliżył się do starokatolików, którzy nie uznawali uchwał soboru watykańskiego o nieomylności papieża...“

Dzierżon zmarł w rodzinnym domu 26 października 1906 roku. Pamięć o działalności tego wielkiego Ślązaka, zwolennika starokatolicyzmu, przetrwała jednak do naszych czasów. „Mała Encyklopedia Powszechna“ nie zapomniała o zasłużonym pszczelarzu z Karłowic i na 211 stronie poświęca mu miejsce.

Ks. T. Gorgół



NAD POLSKIM MORZEM

Fot.: J. KURULISZWILI



HUMOR  
i  
SATYRA

WASHINGTON POST  
DAILY MIRROR  
THE PAKISTAN TIMES

Nigdy jeszcze nasz autorytet  
nie wznosił się tak wysoko...



To jest dyrektor naszego  
ZOO...

